

Małżeństwo?  
Prostytucja?

Politycy we mgle,  
czyli w sieci

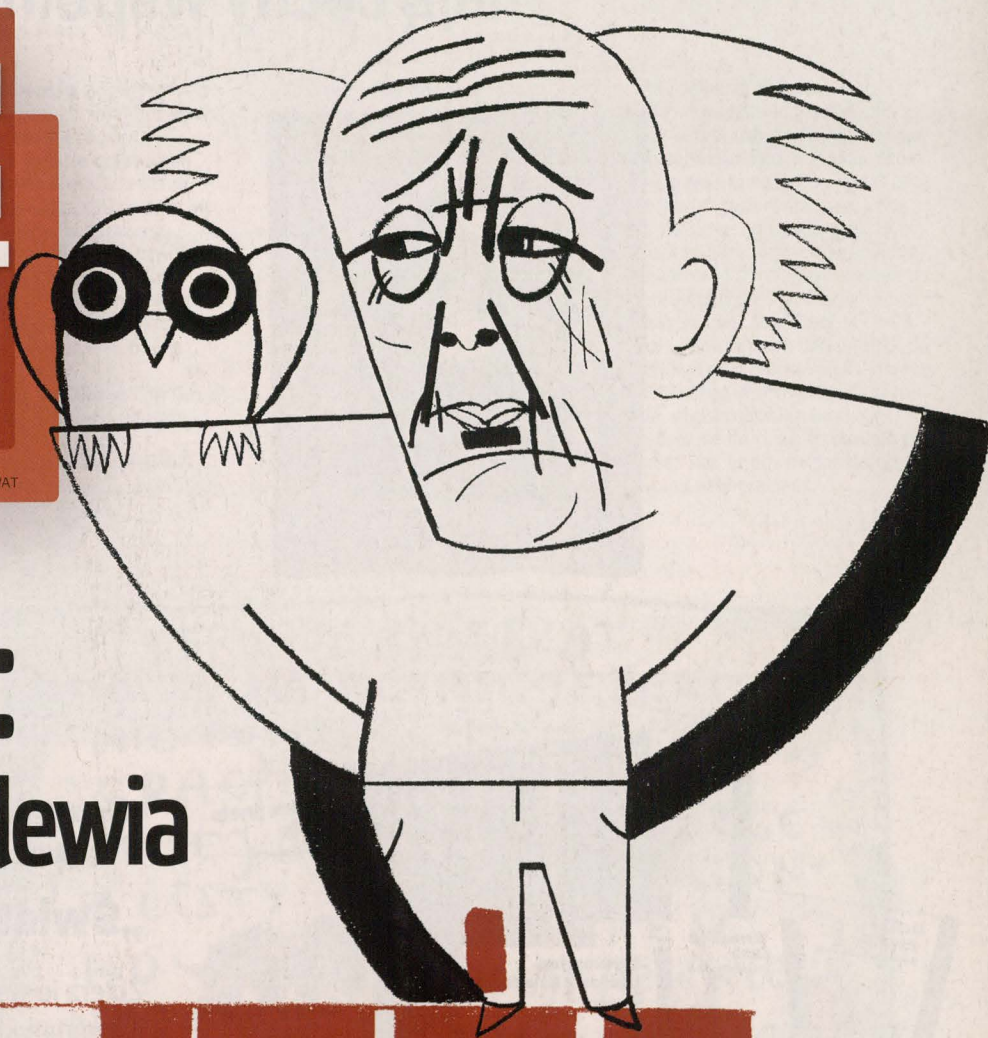
Dlaczego Putin  
musi przegrać

GIODO rządowi  
nie odpuści

# PRZE KROJ

NR 9 (178) / 27 LUTEGO 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT



## Bauman: Czas bezkrólewia

# UPAŁ ODWAGA NADZIEJA

EXS  
424

ISSN 0033-2488

09 >

# Czy Mona Lisa i muszla morska mają cechy wspólne?



Odpowiedzi na te i wiele innych pytań znajdziesz w książkach najnowszej kolekcji „Rzeczpospolitej”

## „Świat jest matematyczny”

Zbierz je wszystkie, poznaj pasjonującą stronę matematyki i przekonaj się, że matematyka jest we wszystkim co nas otacza!

tylko  
**9<sup>99</sup>**  
zł



**TOM 1**  
Złota proporcja  
już w **środe,**  
**7 marca**

- Matematyczne odkrycia, które wpłynęły na kształt cywilizacji
- Przetłomowe twierdzenia najgenialniejszych umysłów wszech czasów
- Intrygujące teorie i hipotezy, nieprzeniknione zagadki i zaskakujące paradoksy

Poleca **RZECZPOSPOLITA**

**OFERTA PRENUMERATY:** Zamiast szukać kolejnych pozycji w kioskach wyślemy Ci je do domu na nasz koszt. Zamawiając subskrypcję, otrzymasz także rabat ponad 20% i zaoszczędzisz 280 zł! Poznaj szczegóły oferty najwygodniejszych zakupów – zamów subskrypcję on-line na [www.rp.pl/e-sklep](http://www.rp.pl/e-sklep)

## PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Eliś

### „Przekrój” w sieci

OLAF SZEWCHYK

**Poniedziałek**  
Te rządowe reklamy o eutanazji coraz ładniejsze, aż miło popatrzyć. „Lepsze jutro już dziś – na całą wieczność!”. No, no! I te anielice w telewizorze takie zgrabne, cyscące jak trza, w takich fikuśnych białych stringach, i tak te banany liżą jako te losie sól w paśnikach zimą, że uch! – i rozrusznik lepiej by na krążenie nie zrobił. I ja żem drzewiej był jurny, dyc pamiętam, jak się junaczyło, że hej! Marianowi spod ósemki chyba też się dźniło do tych bab, bo jako pierwszy z emerytów na naszym podwórku zgłosił się do Domu Nowego Początku. Choć w kolejce po darmową wodę gadali, że chodzilo mu o pakiet pożegnalny: obiad, flaszke, viagre i wejściówkę do burdla. Był chłop, nie ma chłopca.

**Wtorek**  
Ta nowe loteria zus-u nawet zmyśliła: no „nieproduktywnych” osuje, którego przerobią na biomasę w trybie natychmiastowym, i każdy z dziesięciu, którzy mieli szczęście, przez rok dostaje jedną dwudziestą emerytury pechowca. To widać za mało, by kupować chleb częściej niż co trzy dni, ale zawsze coś. I państwo oszczędza.

**Środa**  
A tak się dziwiłem, co ta Walczakowa bez berecika z moheru ostatnio chodzi, a tu masz – wczoraj jak ze śmieciami człapała, to dziś w burkę odziana. Tylko szparka na ślepią została. Bym nie poznał, gdyby mnie od kurwich synów nie wyzwała. Ze się niby nieskromnie gapię („Se jaszczurkę znajdź, Staśku Brontozaurze plugaw ty!”). Od kiedy Arabcy w meczetach żywność swoim rozdają, to to za ropę kupili, coraz więcej na ichnią wiarę przechodzi. W radiu gadali, że już 17 proc. to muzułmancy. Z czego wśród emerytów co trzeci. I jak tu żyć? Więcej o Staśku na Twitterze, na G+, [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl), w tabelkowych edycjach „Przekroju”.

Lista slij tu: [redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)

# W TYM TYGODNIU

## NIE PISZEMY O TYM...

... **co to natemat**, bo to temat dla najprawdziwszych zawodowców.  
... **że okazało się jednak**, iż prędkość światła cząsteczek neutronowych nie przewyższa prędkości światła, co przez chwilę, ku własnemu przerażeniu, stwierdzili naukowcy ze szwajcarskiego CERN. Okazało się, że wyniki podważające teorię Einsteina powstały, ponieważ źle podłączono kabel między nadajnikiem GPS a komputerem.  
... **co będzie**, kiedy Joachim Gauck zostanie nowym prezydentem Niemiec.  
... **czy minister Sikorski** okłamał Władysława Bartoszewskiego

w sprawie likwidacji konsulatu w Kolonii. A jeśli tak, to dlaczego. Zapewne Sikorski wkrótce się jakoś wytweetuje.  
... **co Rutkowski**.  
... **co wokół posłanki Joanny Muchy**.  
... **o co jest podejrzany** syn warszawskiego adwokata, działacza Legii. Został on na chwilę zatrzymany przez policję po tym, jak podpalono kilka samochodów w centrum Warszawy. Chłopaka wcześniej nie wpuszczono na mecz, ponieważ był pijany. Trzeźwy by się wściekł.  
... **o tym, czy Trwam przetrwa**, czy nie dotrwa do Cyfry.

... **że Stadion Narodowy** został cudownie ozdowiony i nie ma żadnych przeszkód, żeby na nim grać w grę zwaną piłką nożną, w którą to grę nie można było jeszcze grać niedawno, ponieważ policja nie mogła się ze sobą skontaktować, będąc w garażach stadionowych. Pewnie wyszli na świeże powietrze. ... **skąd czerpie inspirację** do listów „pasterskich” abp Józef Michalik, gdzie wyraża m.in. taki pogląd: „Kościół jest dziś planowo atakowany przez różne środowiska libertaryńskie, ateistyczne i masońskie”. Wydaje się nam, że arcybiskup powinien nas ubogacać jak najczęściej swoimi deliberacjami.

## MAREK RACZKOWSKI



## LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

*Mechanik o przeglądzie ministrów: wyklepał, gdzie trzeba, wymienił hamulce i zderzaki, dolał olej i jedziem dalej!*

## PRZED WSZYSTKIM

- 6 **Gdzie dziś szukać społecznej solidarności?** Na pewno nie w budynkach rządowych, a na ulicach i placach miejskich. Nie w partiach, ale w roju. Rój ma kształt, ale nie ma struktury. Obchodzi się znakomicie bez dowódców, nadzorców, brygadzystów czy kaprali. Z prof. Zygmuntem Baumanem rozmawia Jarosław Makowski
- 11 **Czarny Piątek.** Felieton Tomasza Piątko
- 12 **Czy uprawianie seksu za pieniądze to kwestia osobowości, warunków ekonomicznych czy wolny wybór kobiet? No i kim są ci faceci?!** Klóć się Maria Świetlik, Agnieszka Kościańska, Ewa Majewska, Anka Grzywacz i Andrzej Depko
- 16 **Bojownik IRA Bobbie Sands umarł w więzieniu po 66 dniach głodówki.** Palestyńczyk Khader Adnan też nie jadł przez 66 dni. Jego prawnicy właśnie zawarli z izraelskimi władzami ugodę, która ma zakończyć strajk. Z Jerolimy Ala Qandil
- 18 **Jako GIODO nie mogę się zgodzić na zakaz zakrywania twarzy podczas zgromadzeń, co byłoby wyrazem nieufności.** Państwo nie może bowiem z zasady uważać każdego za podejrzanego. Z Głównym Inspektorem Ochrony Danych Osobowych Rafałem Wiewiórowskim rozmawia Anna Mazgal
- 22 **Link na stronie Jerzego Buzka zamiast do Centrum Informacji Obywatelskiej przekierowuje do serwisu o tatuażach.** O europosłach błędzących w sieci Agnieszka Łada i Małgorzata Fałkowska-Warska
- 24 **Człowiek nie jest tylko tyle wart, ile na rynku jest warta jego praca – mówi Julii Kubisie Jolanta Fedak,** minister pracy i polityki społecznej w latach 2007–2011
- 26 **W reformie emerytalnej rządu PO–PSL chodzi raczej o zadowolenie ekspertów niż o wymierny kształt przyszłości dla nas wszystkich.** Analiza Przemysław Wielgosza
- 27 **Czy zastanawialiście się kiedyś, co kryje się za terminem niepokalanego poczęcia?** – pyta Tomasz Matkowski
- 28 **Walka o wyrzucenie religii ze szkół nie ma sensu.** Konieczne jest przywrócenie konstytucyjnego ładu w tej sprawie. Państwo musi przejąć kontrolę nad szkolną edukacją religijną – twierdzi Tadeusz Bartoś
- 30 **Burmistrz jednej z warszawskich dzielnic niczym Maria Antonina radzi uboższym mieszkańcom** protestującym przeciwko likwidacji baru mlecznego, by jedli kebaby. Tekst Joanny Erbel
- 31 **Krzyże lubię i popieram, więc wprawił mnie w szczerze zdumienie tylko jeden – węgierski.** Węgrów zresztą też lubię i popieram – od dziecka – pisze Hubert Klimko-Dobrzaniecki
- 32 **Niedzielne wybory będą prawdopodobnie ostatnimi dla Władimira Putina.** Bo w Rosji władza przestaje udawać, że rządzi, a społeczeństwo, że władzę popiera. Tekst Łukasza Wójcika
- 35 **Naprzód!** Felieton Adama Ostolskiego

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 36 **Oskarżając Apple o dążenie do zysku po trupach, „New York Times” zainicjował dyskusję,** na ile winni krzywdy robotników w Azji jesteśmy my wszyscy. Artykuł Olafa Szewczyka
- 39 **Też Pytanie!**

## KONIEC Z KULTURĄ

- 40 **Przestańmy ekscytować się technologią, ekologią, kolejnymi utopiami.** Wróćmy do betonu i solidnego rzemiosła – postuluje w rozmowie z Jackiem Tomczukiem Grzegorz Piątek, współautor książki „Coś, które nadchodzi. Architektura XXI wieku”
- 43 **Bruce Springsteen głosem robotniczej Ameryki?** Cóż, uwierzyli w to nie tylko jego fani, ale i reszta świata – pisze Anna Gromnicka
- 44 **Staram się dzieci traktować serio** – mówi Marta Ignerska, która za „Wszystko gra” wygrała Bologna Ragazzi Award 2012, prestiżowy konkurs na najładniejszą książkę dla najmłodszych

## RECENZJE I ZAPOWIEDZI

- 45 **Muzyka:** Gromnicka poleca Sofę...
- 46 **Teatr:** Drewniak – nowy spektakl Zadary
- 47 **Książki:** Bilewicz o Rwandzie w podkarpackiej wsi...
- 48 **Gry:** Szewczyk o wyśnionym świecie „Final Fantasy XIII-2”

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 49-50 **Rozmaitości z krzyżówką i Lewomyślnie Kurkiewicza**
- 3, 4, 25, 26, 39, 49, 50 **Raczkowski**

## MARK RACZKOWSKI



**PRZEKROJ**

**ADRES REDAKCJI:** ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl  
**REDAGUJE ZESPÓŁ:** Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Piotr Witek, Maria Świetlik, Weronika Kostyrko, Katarzyna Czarnicka **PRZED WSZYSTKIM:** wydarzenia@przekroj.pl, Łukasz Wójcik, Agnieszka Fiedorowicz, Joanna Woźniczko-Czczot **CYWILIZACJA OD ŚRODKA:** nauka@przekroj.pl, Olaf Szewczyk; stale współpracuje Paweł Franczak **KONIEC Z KULTURĄ:** kultura@przekroj.pl, Jacek Tomczuk; stale współpracują Jacek Wakar, Marcin Sendek, Karolina Pasternak, Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki, Bartek Winczewski, Anna Gromnicka **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracuje Kaliber 45 **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Andrzej Figatowski **FOTODYDZIA:** foto@przekroj.pl, **KOREKTA:** Ling Brett **PROJEKT GRAFICZNY:** Kasper Skirgajło-Krajewski **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Bogumiła Kreczmańska, Wanda Wójcik, Tomasz Kieras, Tomasz Rojek **STRONA INTERNETOWA I IPAD:** Marcin Cichoński, Renata Wróbel

### PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

**PRENUMERATA REDAKCYJNA**  
 Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł  
 Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195  
**PRENUMERATA KOLPORTERSKA**  
 oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe  
**PRENUMERATA e-WYDANIA**  
 www.egazety.pl  
**PRENUMERATA ZAGRANICZNA**  
 Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

### DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

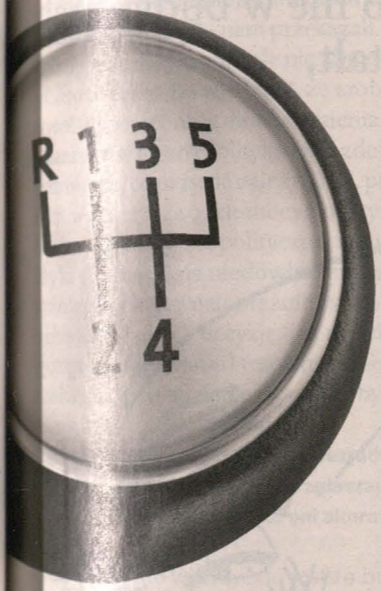
Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróć w nadesłanych artykułach i listach.

# zmieniaj do woli usługi w abonamencie

- bezpłatne rozmowy w Orange
- bezpłatne SMS-y w Orange
- Internet w telefonie
- 50% tańsze połączenia za granicę



Samsung Galaxy S II od 1 zł + VAT

smartfon w najlepszej cenie na rynku

W Orange dla Firm wiemy, że prowadząc firmę, chcesz korzystać z najlepszych ofert. Dlatego teraz w nowych Planach Korzystnych dla Firm możesz bezpłatnie zmieniać usługi w swoim abonamencie.

wybór zmienia się z Orange

Aktywuj numer i zyskaj nawet 40 000 losów umożliwiających wygranie biletów na UEFA EURO 2012™.

biznes zmienia się z orange™

# Czas bezkrólewia

Gdzie dziś szukać społecznej solidarności? Na pewno nie w budynkach rządowych, ale na placach miast, w roju. Rój ma kształt, ale nie ma struktury. Obchodzi

się znakomicie bez dowódców czy kaprali.

**Z PROF. ZYGMUNTEM BAUMANEM** rozmawia Jarosław Makowski



Marta Ignerska

Chcieliśmy rewolucji, to ją mamy. Ludzie wyszli na ulice i place: od Nowego Jorku po Madryt, od Warszawy po Bejrut. Czy te protesty są jasnym sygnałem, że demokracja, ta, jaką znamy i praktykujemy, przestała działać?

Jest to wyraz kryzysu narzędzi i procedur zbiorowego działania, które nasi przodkowie, ci, którzy wywalczyli i skomponowali „demokrację, jaką znamy” – nam przekazali. Oni głosili się, co należy zrobić, ale nie zajmowało ich to, kto to zrobi. Bo wiedzieli, że zrobi to państwo! Wyposażone w moc „czynienia rzeczy”, a zarazem w organa polityki, czyli zdolność decydowania, co uczynić należy. Dziś, przy separacji, a nawet rozwodzie mocy z polityką, dorobiliśmy się mocy bez politycznej kontroli i polityki cierpiącej na niedowład mocy. Najpotężniejsi politycy najpotężniejszych państw ogłaszają w piątek decyzje, jak rozwiązać palące problemy świata. I trapieni bezsennością czekają na poniedziałkowy rano, by poznać werdykt światowych giełd.

Nasi przywódcy, tak jak i my, są bezradni. Ba, mają nawet gorzej. Obywatele zgłaszają swoje żale do polityków, sądząc, że oni akurat mają jakąś moc sprawczą...

Nie mają. I to widać. Nie jest to budujące widowisko. Nie sprzyja zaufaniu do instytucji demokratycznych. Nadzieje na odgórne zbawienie okazują się płonne. Ludzie kierują wzrok ku innym siłom, które mogą rozwiązać ich problemy. Wcale nie skuteczniejszym, ale takim, które swej nieskuteczności jeszcze nie dowiedły, np. elektronicznej cyfrowej. Mnożą się więc eksperymenty z nowymi receptami na to, jak wpływać na bieg wspólnych spraw i bolączek.

Czyli jaką mamy dziś sytuację?

– Odziedziczone i wypróbowane narzędzia załatwiania „spraw wspólnych”

już nie działają. A nowe i skuteczniejsze narzędzia tkwią jeszcze co najwyżej w biurach projektowych. Poczucie zagubienia i bezsily przenika społeczeństwa od góry do dołu. To chyba jedyna dziś płaszczyzna porozumienia między polityczną górą a wyekszmitowanym z „polityki, jaką znamy” dołem.

Masy czują, że nie mają wpływu na politykę i stają się coraz bardziej rozgoryczone.

To z kolei prowadzi do powstania tzw. rozjuszonego obywatela. Czy na naszych oczach dochodzi do jego zderzenia z homo oeconomicus?

– Nie spieszyłbym się z konkluzją, że do zderzenia już dochodzi. To homo oeconomicus popada dziś w rozjuszenie. Jego rozjuszenie jest – jak dotąd przynajmniej – reakcją na odmowę lub niedostępność kolejnych dawek narkotyku i raptowny wzrost ich ceny. Nie tylko pieniężnej, ale tej mierzonej w walucie bezpieczeństwa egzystencjalnego i samooceny. Nie jest to więc wyraz zniechęcenia do konsumpcyjnej narkomanii.

A gdyby pan profesor miał scharakteryzować tych „rozjuszonych obywateli”, którzy spotykają się na placach różnych stolic, to jakby ich pan opisał?

– To przedziwna mieszanina. Różnorodna w każdym z wyobraźalnych wymiarów. Tyle że na czas współprzebywania tłumiąca lub pomijająca milczeniem to, co w niej różnorodne, i zawieszająca spory o racje. Na plac Tahrir, od którego się zaczęło, przyszedli nędzarze z podmiejskich osiedli – ludzie bez środków do życia lub perspektyw na życie godne. Przyszli bogobojni muzułmanie przerażeni i zagniewani rozpasaniem importowanych stylów życia. Przyszli też zamożni mieszczanie, rozeleni niewspółmiernością swej wagi i jej uznania. Wprawdzie majątki swe mogą pomnażać bez przeszkód, ale gębę trzymać muszą zamkniętą na kłódkę. Przyszli i młodzi, otarłszy się o szczególnie zatrzaśnięte wrota do dorosłego życia. I ci inni młodzi, zatroskani nie o swe środki do życia, lecz o spełnienie ambicji życiowych. Pojawilo się też pstre grono zapędzonych w podziemiu politycznych rebeliantów o wszelkich kolorach ideologicznej tęczy.

Czy nie zakrawa to na swego rodzaju cud, że – mimo tylu różnic – wszyscy ci ludzie stanęli obok siebie, ramię w ramię?

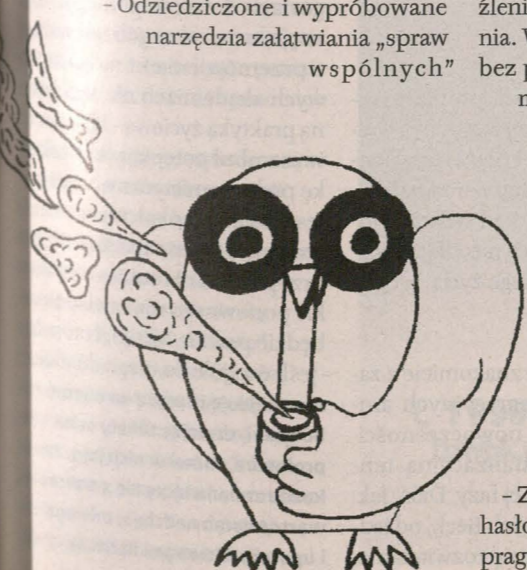
– Zauważmy: na plac Tahrir przywołało ich hasło: „Precz z Mubarakiem”. Jednoczyło ich pragnienie usunięcia zawalidrogi. Dlaczego?

By dochodzić swoich interesów. Domagać się odszkodowań za swoje krzywdy. I dowodzić swoich racji. Swoich, nie tych z sąsiednich na placu namiotów. Solidarność okupantów placu Tahrir nie przeżyła triumfu hasła, jakie je sprowadziło. No i pewnie nie mogła. Taki to już los solidarności we fragmentarycznym, klasowo rozdartym, wielokulturowym społeczeństwie płynnie-nowoczesnej ery.

Pan profesor zdaje się powątpiewać, że z tej negacji, wyrażonej hasłami: „Precz z Mubarakiem” czy „Precz z Wall Street” może zrodzić się spójna i pozytywna wizja przemiany świata?

– Można przyjąć, że ludzie wiedzą, czego by nie chcieli, by dalej się działo. Nie wiedzą jednak, co należałoby zrobić w zamian. Co ważniejsze, nie mają pojęcia, kto mógłby wykonać te wymagane kroki. Przesłania z Twittera i Facebooka wzywają i wysyłają ludzi na place, by protestowali przeciwko „temu, co jest”. Tyle że nadawcy milczą na temat tego, co „być powinno”. Albo przedstawiają alternatywę w ogólnikowych, niewyraźnych, ledwie naszkicowanych i mglistych, a przede wszystkim „elastycznych” ramach. Po to, by zabezpieczyć się przed zeszytnieniem którejkolwiek z mglistych obietnic w konkretny punkt programu. Zachowują także ostrożne milczenie w drażliwej kwestii spójności, czy być może niespójności, swoich żądań. Nadawcy z Twittera i Facebooka mogą zaniechać takiej ostrożności, tylko ryzykując klęskę sprawy, którą promują. Gdyby zlekceważyli spiżowe reguły cyfrowej mobilizacji i strategii from-online-to-offline, ryzykowaliby, że ich inicjatywa będzie albo martwo narodzona, albo umrze bezpotomnie. Bo mało wzywanych do czynu zejdzie się na publiczny plac, jeszcze mniej rozbije tam namioty, a tylko w całkiem już nielicznych namiotach ich lokatorzy osiadają na dłużej.

„Ludzie w ruchu”, „ludzie na ulicach” zajęci są oczyszczaniem placów budowy w oczekiwaniu na inne zagospodarowanie przestrzeni. Tę pracę wykonują, a przynajmniej próbują to robić z oddaniem. Budynki, które mają zastąpić te dziś opuszczane i/lub demontowane, trwają jak dotąd tylko na prywatnych deskach kreślarskich. Żaden nie dotarł do fazy faktycznego planowania. Tak naprawdę nie położono jeszcze nawet fundamentów pod biuro, które miałoby się tego planowania podjąć. Załogi oczyszczające place budowy wyraźnie wzrosły liczebnie, ale budownictwo nowych domostw i biur pozostaje daleko w tyle – i dystans między jego potencjałem a ogromem →



→ zaniebanych robót budowlanych rośnie niepewstrzymanie. Aż nazbyt wyraźna niemoc i nieadekwatność istniejącej maszyny politycznej to jak dotąd najsilniejszy bodziec skłaniający rosnącą liczbę ludzi do pospolitego ruszenia. Jego moc integrująca ogranicza się jednak do operacji oczyszczania gruntu. Nie sięga ona projektantów, architektów i budowniczych przyszłego osiedla. Znakiem szczególnym tego „bezkrólewia” są demontaż i kompromitacja instytucji dotychczas obsługujących procesy artykulacji i komasacji publicznych wizji, programów i projektów. Poddane, wraz z resztą społecznej tkanki ludzkiego współżycia, procesom deregulacji, fragmentaryzacji i prywatyzacji – instytucje te odzieran są ze znacznej części swojej mocy sprawczej, aury i wiarygodności, pozostając z nader mglistą szansą ich odzyskania.

**Czy to naprawdę mało, żeby zdać sobie sprawę, co nie gra w dzisiejszym świecie? Może teraz przyjdzie moment na powiedzenie głośno, „czego chcemy”?**

– Chciałbym móc na to pytanie odpowiedzieć przekonująco. Ale musiałbym zacząć od przekonania samego siebie. Zanim jednak pragnienie przerodzi się w pokusę nie do odparcia, po której mógłbym sformułować nieodpowiedzialne sądy, gryzę się w język.

Bo jest to pytanie, na jakie tylko historia może odpowiedzieć. A nie wróżbici, nawet ci z socjologicznym dyplomem. Vaclav Havel, człowiek zaprawiony w polityce o ileż bardziej ode mnie i świadomy jej ograniczeń, absurdów, zasadzek i pułapek, powiedział: „By kusić się na przepowiadanie, jak się sprawy potoczą, trzeba wiedzieć, jakie pieśni naród skłonny jest śpiewać”. Ta część jego orzeczenia zabrzmiała mi jak zachęta dla socjologów, którzy badaniem tych spraw właśnie się zajmują. Ale Havel z miejsca połał rodzący się zapal kubiem zimnej wody – dodając, że nie da się przewidzieć,

jakie pieśni zechce naród zaintonować następnego roku.

Domaga się pan „pozytywnego programu”, którego nieobecność widać dziś gołym okiem. Sporo z nim jednak kłopotów. I to nie tylko z powodu ideologicznej pstrokaczyny. Oburzonych sobie życia lepszego, niż jest, życia, jakiego jeszcze nie

**ściągniemy ich na ziemię, ale one nam mówią, w którym kierunku mamy zmierzać?**

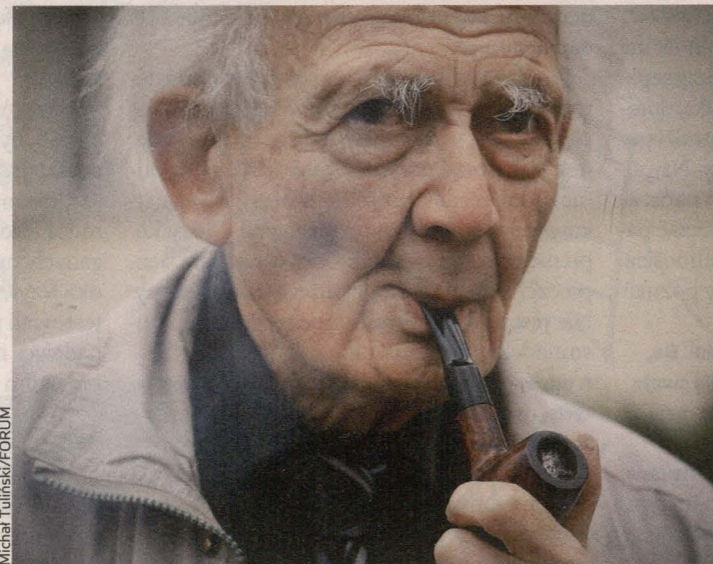
– Przesunęły się oczekiwania i ambicje lepszego życia. Nie lokują się już w modelach „dobrego społeczeństwa”. Mało kto zresztą w możliwość takiego społeczeństwa dziś wierzy, a już nikt prawie nie obiecuje, że da się do niego dotrzeć drogą torowaną przez

społecznych problemów. I to przy użyciu jednostkowej przemysłowości i sprytu, a także indywidualnie dostępnych środków działania. Osobiście wiązę tę dalekosiężną przemianę w naturze utopii ze zmianą najpospolitszej, najgoręcej rekomendowanej i najpowszechniej przyjmowanej przy współpracy rynków konsumpcyjnych postawie życiowej: od „ogrodniczej” do „łowieckiej”.

Spodziejając się dobra po dogłdanym starannie i troskliwie uprawianym ogrodzie, ogrodnik przyjmuje na siebie odpowiedzialność za trwałość i urodę ogrodowego ładu. Zaś myśliwy troszczy się głównie o obfitość ustrzelonej w kolejnym polowaniu zwierzyny, mało się bógostanem lasu przejmując. A już całkiem odmawiając przyjęcia odpowiedzialności za jego trwanie. Jeśli utopia „ogrodnicza” to perspektywa doskonałego ładu wieńczącego długi, ale mozolny wysiłek, utopia „łowiecka” to marzenie o nigdy się niekończącym pasmie polowań, myśliwskich przygód i podnieceń.

Starsze pokolenia spędziły już znaczną część swego dorosłego życia w społeczeństwie skrojonym na miarę mentalności myśliwskiej. Młode pokolenia innego społeczeństwa w ogóle nie znały. Jedne pokolenia „zdolały się odzwyczaić od myślenia w kategoriach dobra wspólnego: kojarzą je, u nas szczególnie, bardziej z przemówieniami na rocznicowych akademiach niż z codzienną praktyką życiową – albo wręcz w czambuł potępiają jako czkawkę po komunistycznym reżimie. Jeszcze inne pokolenia nie miały szansy się z nim zapoznać. Proces przypominania sobie owej sztuki i ponownego nią zawładnięcia będzie pewnie i długi, i mozolny – jeśli w ogóle do niego dojdzie.

**Ale znajdują receptę na obecne bóle, czytając teksty pana profesora. Mówi w nich pan, że każda zmiana łączy się z trzema wartościami: nadzieją, odwagą i uporem. Odwaga i nadzieja**



**„Niemoc istniejącej maszyny politycznej to jak dotąd najsilniejszy bodziec skłaniający ludzi do działania. Jego moc ogranicza się jednak tylko do operacji oczyszczania gruntu”**

ZYGMUNT BAUMAN

ma, ale jakie mogłoby zaistnieć czy nawet zaistnieć powinno – przywodzi na myśl marzenie o utopii. To wciąż niewysychające źródło „myślenia utopijnego” tryska dziś równie obficie, a pewnie i obficie jeszcze niż za czasów Tomasza Morusa, który nazwę „utopii” dlań wykuwał. Tyle że treści wyobrażeń radykalnie się od tych czasów zmieniły. A i nadzieje z nimi związane czy wysiłki tymi nadziejami pobudzone przeniosły się w całkiem inne regiony. **Czy jednak z utopiami nie jest tak jak z gwiazdami: wiadomo, że nie**

rozum. Dzisiejsza utopia to raczej sen o własnej, wygodnej, wolnej od kłopotów i pełnej przyjemnych doznań niszy wśród bałaganarskiego jak dotąd świata. Utopia, jak tyle innych nieodłącznych aspektów ludzkiego życia, uległa prywatyzacji.

**Dlaczego?**  
– Współbrzmi to znakomicie z zastąpieniem integracyjnych ambicji wczesnej nowoczesności przez indywidualizacyjną tendencję jej obecnej fazy. Dziś, jak to trafnie ujął Ulrich Beck, od jednostki oczekuje się rozwiązania

**się potrzebne do rozpoczęcia protestu. Upór – do stworzenia nowych struktur na zgłiszczach tego, co zostało obalone. Czy jeśli dzisiejsi oburzeni i okupujący przegrają, to dlatego, że nie starczy im wytrwałości?**

Upór, jeśli wsparty jest niegasnącą nadzieją, znaczy: nie załamuj się i nie ciskaj ręcznika na ring, jeśli tym razem nie udało się wygrać. Zdobyc się na upór w płynnej rzeczywistości, schlebającej „flexibility”, czyli po naszymu „brakowi kręgosłupa”, nie jest łatwo. Przecież żyjemy w kulturze, która domaga się natychmiastowego zaspokajania pragnień i uznającej wszelką zwłokę za symptom porażki lub niegodziwości.

Jak długo można okupować Wall Street, skoro owoców okupacji nie widać? Zabrakło dziś Bastylii czy Pałaców Zimowych do szturmowania. Moce, jakim chcesz się przeciwstawić, rozpełzły się, nie pozostawiając adresu. Protest jest, jak był, zawsze przywiązany do miejsca, ale jego obiekty, by posłużyć się trafnym określeniem Manuela Castella, żeglują dziś w „przestrzeni przepływów”. Nie nasypiesz im soli na ogon. Wyciągniesz rękę, a wymkną się na z góry upatrzone przez siebie, nam trudno dostępne pozycje. Narzuca się tu porównanie z „fatamorganą”. A kto wytrwałby w gonitwie za nią? Nie przypadnie nam długo czekać na zniechęcenie i opadnięcie rak. Uporu protestującym pewnie zabraknie. Tyle że nie sposób ich za to ganić.

Jednak sytuacja się zmienia w tym sensie, że protestujący dostali do ręki skuteczną broń – sieć. Dzięki mediom społecznościowym szybciej się organizują. Gdyby demokracja sprowadzała się tylko do kliknięcia „lubię to”, moglibyśmy wręcz mówić o jej zmartwychwstaniu. Tyle że „obywatel click” nie bardzo chce stać się „obywatelem do”. Czy jest szansa, żeby obecne protesty stały się źródłem do większej partycypacji obywatelskiej?

– Zjawisk tu jednoznacznych, ku zgrozie i rozpacz rozumu logicznego, tyle co kot napłakał. Media cyfrowe otworzyły szerokim rzeszom dostęp do debaty politycznej. Ale wirtualnej debaty politycznej! Pozwoli to może ludziom szerszej otworzyć oczy. Czy jednak, jak im entuzjaści wróżą,

a oni sami pod ich wpływem się spodziewają, wydłużą to ręce obywateli, by dosięgły tego, co było wprzód niedostępne? To jak dotąd wielka niewiadoma.

Transplantacje z online do offline były na ogół, jak dotąd, raczej nieudane. Gdy się jednak po wiodły, nie wychodziło to z reguły

świata offline na dobre. Wirtualna polityka może skonsumować energię, jaka mogłaby być użyta w reformowaniu niecyfrowej rzeczywistości. Uspokaja zarazem nerwy wrażeniem, że się nie siedziało z założonymi rękami i czegoś ważnego dla własnego i współziomków życia dokonało. Te →

REKLAMA

**Co robi Chuck Norris, żeby zdobyć gotówkę?**

**Wstępuje do oddziału.**

Też bądź jak Chuck Norris i przyjdź do Banku Zachodniego WBK po doborowy kredyt gotówkowy z niską ratą. Decyzja w 10 minut.

**DOBOROWY KREDYT GOTÓWKOWY**

☎ 1 9999 bzbwbk.pl

**B WBK** | Bank Zachodni WBK

Szczegóły oferty, informacje o opłatach, prowizjach i oprocentowaniu dostępne w placówkach BZ WBK i pod numerem 1 9999. Decyzja kredytowa uzależniona od wyniku badania zdolności kredytowej. Opłata za połączenie z numerem 1 9999 zgodna z taryfą danego operatora. Stan na 1.02.2012 r.

→ nowe sposoby zmediatyzowanego bycia-w-świecie mogą przysparzać mocy, ale mogą też obezwładniać.

**Bohaterami wirtualnej polityki są z reguły ludzie młodzi. Pan profesor dawno już pisał w książce „Życie na przemiał”, że jest to „stracone pokolenie”. Jeszcze dekadę temu panowała wśród młodych ludzi następująca świadomość: „Zdobędę wykształcenie, dostanę dobrą pracę, jakość mojego życia będzie wyższa niż moich rodziców”. Dziś młodzi mówią tak: „Dobre wykształcenie nie gwarantuje dobrej pracy, a jakość mojego życia będzie niższa niż moich rodziców”.**

– Termin „prekariat” ukuto niedawno z francuskiego pojęcia „precarité”, sygnalizującego nieokreśloność i niepewność losu. Sytuację „prekariusza” określa poczucie niewiedzy: „Nie mam pojęcia, jak się sprawy potoczą”. I nieporadności: „Nie mam wpływu na to, jak się sprawy potoczą”. Oba te poczucia uwłaczają, upokarzają, ranią godność własną i pozbawiają pewności siebie.

**„Prekariat” już wie, że jakość jego życia nie wzrośnie, jeśli nie zmieni świata. I może w tym nadzieja?**

– Niedola proletariusza była macierzą solidarności: zwierania szeregow, kroczenia ramie przy ramieniu. Podpowiadała ona: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Niedola prekariusza jest dla odmiany macierzą rozproszenia. Samotności: porzucenia, nieufności, podejrzliwości. Podpowiada ona: każdy sobie, każdy dla siebie, ratuj się, kto może i jak może.

W naszej dzisiejszej polityce, wyzbytej mocy i pogodzonej z zadaniem uprzątania terenu z brudów i śmieci przez inne moce pozostawionych, układanie programów na dalekie lata i tworzenie wizji świata bardziej gościnnego ludziom i ich człowieczeństwu przypomina porywanie się z motyką na słońce. Proletariusz mógł nadstawiać ucha na pieśni głoszące, że „dziś niczem, jutro wszystkim my”. Prekariusz zaś nuci: „Dziś niczem

i jutro niczem my”. Bardziej w ten sposób z własnym, a i wspólnym innym prekariuszom doświadczaniem współbrzmii. Podczas gdy zwrotka: „Niczem my, wszystkim ja” bardziej go do czynu, a jeszcze bardziej do marzeń o czynie czasami podrywa.

Peter Drucker ostrzegał, że „nigdy więcej zbawiania przez społeczeństwo”. To może wciąż być jednak nadal przestroga na wyrost. Dziś, przy aktualnej politycznej aparaturze, społeczeństwo nie da nam zbawienia – świadczy o tym choćby rosnąca – roku na rok liczba prekariuszy; nie znaczy to jednak, że potomkowie proletariatu nabrali odrazy do solidarnego działania i nie łakną odrodzenia ufności w jego skuteczność. Znaczący to tylko, że odbudowy społecznej solidarności poszukują gdzie indziej niż w sztabach partyjnych i ministerialnych gabinetach.

**To gdzie jej szukać?**

– Jeśli sędzić po wydarzeniach ostatnich lat: nie w budynkach rządowych, ale na ulicach i placach miejskich. I nie w partiach, ale w roju. Rój ma kształt, ale nie ma struktury. Obchodzi się znakomicie bez dowódców, nadzorców, brygadzystów czy kaprali: bez przełożonych i podwładnych, hierarchii zwierzchnictwa i podporządkowania, biurokracji, sztabów generalnych i rozkazów dziennych.

Charyzmat – moc przyciągania do siebie i pociągania za sobą – jest w roju niezakorzeniony i nieuwiązany. Zawsze w ciągłym locie i zawsze w przelocie. Przyłgnąć może na chwilę do każdego, kto się do roju podłączy, ale tylko po to, by się za chwilę znów do lotu poderwać. Oglądany z zewnątrz rój zdaje się być cudem koordynacji. Ale to koordynacja bez koordynatorów. Rój jest nieustającym eksperymentem. W tym jego olbrzymia siła działania. I w tym jego niemożliwość spehnienia.

**Jest też chyba ciekawe, że dziś na placu i ulicy wylega pokolenie, które nie ma już neoliberalnych złudzeń, że „niewidzialna ręka**

**rynku rozwiąże nasze bolączki”.**

– Raport zatytułowany: „Pas de rentrée pour les »Ni-Nis«” (Nie ma powrotu/dochodu dla „Niepracujących-Nieuczących się”) opisuje historię 17-letniego Yetzela Decerry żyjącego z rodzicami w Meksyku. Jest on też jednym z działaczy powstałego w 2006 r. Ruchu Wykluczonych ze Szkolnictwa Wyższego. „Nie ma dla mnie miejsca w szkołach publicznych, nie stać mnie na prywatne, nie ma też dla mnie pracy” – tak Decerra opisuje los własny i setek tysięcy swoich rówieśników.

Prowadzone przez państwo uczelnie są na bardzo wysokim poziomie, jednak jest ich niewiele (spośród 122,75 tys. kandydatów ubiegających się o miejsce w Narodowym Autonomicznym Uniwersytecie w Meksyku dostało się zaledwie 10,3 tys., a w skali ogólnokrajowej jedynie jedna trzecia zdających może liczyć na przyjęcie). Z 28 mln młodych Meksykanów w wieku od 15 do 29 lat aż 19 mln nie uczęszcza do żadnej szkoły, a 7,5 mln bezskutecznie szuka pracy. Ruch Wykluczonych, w którym działa Decerra, walczy o miejsca na wyższych uczelniach dla 200 tys. ubogich i palących się do nauki młodych ludzi.

Kilka tysięcy kilometrów od Meksyku opracowany przez grupę ekspertów na zlecenie polskiego rządu raport informuje, że w maju 2010 r. młodzi ludzie w wieku od 18. do 34. roku życia stanowili aż 50 proc. polskich bezrobotnych. Połowie z nich zaś jeszcze nigdy nie udało się zdobyć jakiegokolwiek zatrudnienia. I to pomimo tego, że na przestrzeni ostatnich 20 lat liczba studentów w Polsce uległa podwojeniu, a liczba absolwentów uczelni wyższych zwiększyła się przeszło 2,5-krotnie. Wynagrodzenie 60 proc. młodych ludzi pochodzi obecnie z prac okresowych lub dorywczych, co pozbawia ich zarówno szansy na rozwój kariery, jak i jakiegokolwiek gwarancji trwałości zatrudnienia, a większość z tych pozornych etatów jest

znacznie poniżej zdobytych przez nich kwalifikacji i referencji.

**Co mają nam pokazać zestawione przez pana profesora przypadki z Meksyku i Polski?**

– Milan Kundera zauważył kiedyś, że zjednoczenie ludzkości polega na tym, że nie ma dokąd uciec. Jakże to prawdziwe. Szczególnie dla młodych ludzi, jedynego przyczółka ludzkości w Krajinie Jutra. W każdym razie niektórzy francuscy obserwatorzy spieszą już głosić nastanie generacji „Ni-Ni” („Niepracujących-Nieuczących się”) – prawdopodobnie pierwszej w pełni lub niemal w pełni globalnej spośród dotychczasowych. Po raz pierwszy od kilkadziesiąt lat ze wszystkich zakątków „rozwinętej” części planety dobiegają wieści o nadprodukcji inteligencji. Mówi się o młodych ludziach mających wysokie i rosnące oczekiwania, którzy stają wobec kurczących się szans. Młodych ludzi z perspektywą bezrobocia lub godzenia się na pracę dorywcze i grubo poniżej ich kwalifikacji oraz ambicji. Stefan Czarnowski dawno ostrzegwał, do czego może doprowadzić taka sytuacja. Jej potencjał wybuchowy udokumentowały ostatnio tłumy ścigające na kairski plac Wyzwolenia.

**I co dalej z młodymi?**

– Jak na razie jedno następstwo jest czytelne: załamanie się nadziei na to, że merytokracja pozostanie na wieki plastrem znieczulającym rany społecznej nierówności i wynikającej z niej deprywacji. Zawrotny wzrost kosztów wykształcenia i równie szybkie ogołocenie dyplomów z gwarancji kariery zwiastują niedobór środków znieczulających, a mówiący wprost – zapowiadają okres odszczepiania najzdolniejszych i najambitniejszych jednostek z warstw upośledzonych. Pozbawione się one mogą orędownikami protestu społecznego. A może i potrafią scalić zbiorowisko zagubionych i w samotności cierpiących ofiar w zdolną do zbiorowego działania siłę polityczną.

# Wielebny rękoczyn



**TOMASZ PIĄTEK**  
Autor felietonu  
jest pisarzem

**G**giugu. Pokarm dla ascetów. Asceta jest bardzo wybredny i – jak wiadomo – niewiele je. Jeżeli jednak dasz mu Giugu, zobaczysz, że twój asceta będzie zadowolony z posiłku. Giugu. Pokarm ze zrośniętych ludzików.

Od dłuższego czasu Zebka (papugę) próbuję kaenić Giugu. Ale Zebek najwyraźniej nie jest ascetą, nie chce Giugu. Jedynym, co je, to małe karteczki z napisem: „Jestem winny”. Co ciekawe, nigdy dotąd nie udało mi się go zmusić, żeby powiedział: „Jestem winny”. „Jestem winny” wchodzi mu do dzioba, ale nigdy z niego nie wychodzi.

Dzisiaj jednak Zebek nie chciał zjeść karteczki z napisem: „Jestem winny”, nawet gdy napisałem na niej ten tekst dwukrotnie. W trosce o właściwe wyżywienie mojej papugi zacząłem na małych karteczkach pisać inne teksty. „Mamo, na pomoc”. „Embrion krokodyla”. „Wydajny pytajnik” (wydajny pytajnik to taki, który sprawia, że pytające staje się nie tylko to zdanie, na którego jest końcu, ale również wszystkie poprzednie zdania). Wreszcie napisałem: „Wielebny rękoczyn”. I wtedy Zebek zjadł karteczkę.

Fiu, fiu, powiedziałem sobie, a właściwie zagwizdałem. Jak nie urok, to sraczka, jak nie Giugu, to Fiufiu. Dobrze, że nie Fjofjo (Fjofjo to szwedzka miejscowość nadmorska występująca w komiksie Ingmara Bergmana „Szalone serca”, charakteryzuje się tym, że topi się w niej rekordowa liczba osób). Ale wracając do Fiufiu: Zebek najwyraźniej znalazł się pod niebezpiecznym wpływem proboszcza z Sidziny. Kim jest proboszcz z Sidziny? Bohaterem poematu, który właśnie piszę. Zaczyna się od wersów:

*Ksiądz proboszcz z Sidziny  
W twarz walił dziecięcy  
Aż mu ręka... Uschła?  
Nie, jedynie spuszcza.*

Powinno być „spuchła”, oczywiście, ale wtedy by się nie rymowało, więc pozwoliłem sobie na małą licentia poetica. A proboszcz pozwolił sobie na taką licentia pontifica, że regularnie walił w twarz swoich uczniów. Może zamiast religii uczył ich kung-fu? Kung-fiu, powiedziałem sobie, a właściwie zagwizdałem, gdy się o tym dowiedziałem: wielebny rękoczyn w przypadku tego księdza nie oznacza masturbacji, tylko bicie dzieci. Kung-fiut musiał bić je mocno, skoro oskarżono go o spowodowanie obrażeń ciała.

Ale proszę się nie martwić: księdzu nic się nie stało. Tak, został oskarżony o pobicie jednego ucznia. Po długich bólach, bo prokuratura rejonowa umorzyła sprawę, dopiero potem okręgowa kazała ją wznowić. Teraz jednak sprawę umorzył sąd. A jeśli chodzi o bicie innych dzieci, to się okazało, że się przedawniło. Tu się umorzyło, tam się przedawniło, amen. Amen i fiu.

W tej sytuacji trzeba zapytać: dlaczego tylko umorzenie? Dlaczego nie całkowite i natychmiastowe uniewinnienie? Nie zatrzymujemy się w pół kroku, powiedzmy

sobie jasno: polski ksiądz ma prawo bić polskie dzieci. Niepolskie, jak się trafią, również, a nawet jeszcze bardziej. Wprowadźmy policzkowanie do liturgii katolickiej. „Oto wielka tajemnica wiary” – śpiewa ksiądz i prask w pysk ministranta. Następnie wszyscy klękają do komunii i ksiądz wsadzając ludziom hostię do buzi, równocześnie ich po tej buzi wali, żeby komuniam się dobrze przyjęła. A potem wszyscy śpiewają: „Serdeczna Matko, podziel się łopatką” albo coś równie czarownego i na temat.

– Zebku! – powiedziałem. – Opętał cię złośliwy proboszcz. Muszę cię jakoś wyegzorcyzmować. Tylko jak to zrobić?  
Na szczęście jest Kiukiu.

Kiukiu. Wyciąg z trzustki rzęsorka rzeczka. Jeśli twoja papuga śpiewa katolickie pieśni liturgiczne od tyłu albo i od przodu (na jedno wychodzi), to znaczy, że jest opętana przez proboszcza. W takim razie podaj jej Kiukiu. Kiukiu. Przepala sumienie.

A rzęsorek rzeczek to odrębny temat. Rzęsorek rzeczek. Malutki, włochaty, jadowity. Ten niewielki, prymitywny ssak nadaje się idealnie do zmywania makijażu. Pokryty pudrem lub podkładem wygląda uroczo, niedbale rzucony na toaletkę. Rzęsorek rzeczek. Zaskakujący w swej prostocie.

Ale wróćmy do Zebka: podałem mu Kiukiu i już po kilku minutach powiedział: „Zupełnie nie rozumiem, dlaczego teraz oskarżają Dominique’a Straussa-Kahna o prostytuowanie wyłącznie kobiet. Przecież jako szef Międzynarodowego Funduszu Walutowego robił to z całym krajami”. A potem – po raz pierwszy odkąd go mam – wyduślił z siebie: „Jestem winny”. Może powiedział to w imieniu Straussa-Kahna? A może wciąż przemawiał przez niego proboszcz?



## Sponsoring – między małżeństwem a prostytutką



KINO ŚWIAT

Czy uprawianie seksu za pieniądze to kwestia osobowości, warunków ekonomicznych czy wolny wybór kobiet? No i kim są ci faceci?!

**Maria Świetlik:** Film Małgości Szumowskiej „Sponsoring” opowiada o studentkach, które świadczą usługi seksualne w zamian za dobra konsumpcyjne – gotówkę, gadżety, mieszkanie w dobrym punkcie miasta. W sumie są zadowolone ze swojego życia.

**Agnieszka Kościńska:** W Polsce kobiety zarabiają średnio 30 proc. mniej niż mężczyźni, we Francji, gdzie dzieje się ten film, to jest 20 proc. Niektóre kobiety mają tak utrudniony start, że po prostu muszą to robić, żeby się utrzymać. Dla innych to nie jest kwestia przeżycia, tylko poprawy statusu. W kulturze konsumpcyjnej każdy chciałby mieć coraz to nowszy samochód, coraz lepsze ubrania. Sponsoring jest sposobem zaspokojenia tych pragnień.

W badaniach, które robiono w Rosji w latach 90., 60 proc. absolwentek szkół średnich uważało, że prostytutka jest dla nich najlepszą opcją zawodową.

**Ewa Majewska:** Od 1989 r. w Polsce, a od lat 80. na świecie, obserwujemy neoliberalizację społeczeństwa. Nastawione jest ono

nie tylko – jak w kapitalizmie tradycyjnym – po prostu na korzyści, teraz te korzyści mają być bezpośrednie i natychmiast konsumowane.

Z perspektywy badaczki XIX-wiecznego marksizmu na prostytutkę można spojrzeć jako na rewers tego, co się dzieje w małżeństwie. Charles Fourier, za nim Engels i Marks, mówili o małżeństwie jako o zalegalizowanej prostytucji. Odrzucali rozróżnienie na porządne kobiety w związkach małżeńskich versus prostytutki, które świadczą usługi seksualne. Ich zdaniem tak czy inaczej kobieta jest dla mężczyzny przedmiotem do wykorzystywania, w roli matki, opiekunki ogniska domowego czy właśnie dostawczycielki usług seksualnych.

Przy wzroście rozwarstwienia społecznego oraz wytworzonej po 1989 r. nadziei, że teraz każdy będzie miał w domu wideo, a przed domem samochód, trudno się dziwić, że osoby, które nie mają wysokiego statusu ekonomicznego, starają się go na różne sposoby uzyskać.

**Świetlik:** Ale czy za każdym razem, gdy ktoś wymienia seks na pieniądze, mamy do czynienia z wykorzystywaniem?

**Andrzej Depko:** Prostytucja sama w sobie nie jest złem. Staje się nim w momencie, w którym ktoś kogoś zmusza do jej uprawiania dla własnej korzyści.

Ale jeżeli nie chcę być konserwatorką powierzchni płaskich, to mam prawo wybrać sobie taki zawód. Jeżeli będę zarabiała wyłączenie na siebie, to jest to tylko mój wybór. Sponsoring bywa drogą na skróty. Kultura konsumpcyjna wytwarza nacisk na szybkie równanie do określonego statusu. Dla tego gimnazjalistki czy licealistki ulegają pokusie.

Zdarza się jednak, że studentka decyduje się na sponsoring, bo nie ma pieniędzy na naukę. Byłem ostatnio świadkiem przykrych scen: do antykwariatu weszła dziewczyna po podręczniki medyczne. Nie było ich, a jej nie było stać na kupno nowych w specjalistycznej księgarni. Taka dziewczyna może wybrać drogę sponsorowanej studentki, jeśli to będzie tran-

polina do statusu, który umożliwi jej pracę zgodną z marzeniami i samorealizację.

Ale z praktyki zawodowej znam sytuacje, w których studentki były utrzymankami starszych panów i kończyło się to szczęśliwie. Pewien biznesmen przez pięć lat opłacał studentce wynajęcie mieszkania i podręczniki. Tak naprawdę mniej potrzebował seksu, chciał raczej zaspokoić swoją potrzebę opieki. Któregoś dnia powiedział mi podczas wizyty: Proszę mi pomóc, abym dziś wieczorem był sprawny seksualnie. To nasze ostatnie spotkanie, ona wychodzi za mąż. Dałem jej posag, zmieniliśmy numery telefonów, ustaliliśmy, że nigdy się nie znajdziemy i nigdy się nie spotkamy. Ona zaczyna swoje życie”.

**Majewska:** Na pierwszym roku studiów zlamłam kiedyś Nowym Światem. Zatrzymał mnie facet i zaproponował, że postawi mi kawę. Miałam pół godziny do zajęć, nie byłam zamożną studentką.

Powiedział, że jest projektantem mody, był bardzo uprzejmy, przepięknie narysował mi od razu cały szereg projektów odzieży, w którą by mnie usiłował potem wcisnąć, było to niezmiernie zabawne. Opowiadał, że

co prawda ma żonę i dzieci, ale życzyłby sobie, bym zamieszkała w jakimś mieszkaniu, mogę sobie wybrać gdzie, a on będzie za wszystko płacił. I tam będziemy się spotykać.

Pomyślałam wtedy, że wcale nie zawsze człowiek chce mieć relacje seksualne oparte na rodzinie, związku, zobowiązaniach, niekończących się listach emocjonalnych wymian. Wydawało mi się jednak nie fair, że facet kilka dziewczyn poustawia sobie w różnych mieszkaniach po całej Warszawie, a w domu będzie aniołkiem.

Ja nigdy tego nie robiłam, bo miałam wybór. Chociaż jeżeli ktoś zabiera mnie do kina i potem idziemy do łóżka, to nie wiem, czy nie można by było tego rozpisać na prosty algorytm pod tytułem „kino za seks”... Ale nie, to jednak były bardziej złożone relacje...

**Depko:** Decyzja o prostytucji nigdy nie wynika łącznie z sytuacji ekonomicznej, ale również z osobowości. Dorastamy do swojej seksualności, mając już wykształconą osobowość. Wybór, czy będę pracować ciałem, czy nie, to kwestia osobowości. Część kobiet uznaje, że taki sposób zarabiania nie mieści się w ich systemie wartości.

**Majewska:** Mówienie o osobowości pozwala kobietę przyskrzynić w tym, że ona jest niemoralna. Praktyki seksualne jako trampolina do skoku klasowego mogą też zmuszać do akceptowania rozmaitych form przemocy, podporządkowania, napastowania nie tylko seksualnego, ale także przemocy psychologicznej.

**Kościńska:** Jedna z bohaterek filmu mówi, że nie boi się seksu bez prezerwatywy, bo ci mężczyźni śpią tylko ze swoimi żonami i niczym jej nie zarażą. Nic bardziej błędnego! Ale jej może być trudno negocjować użycie prezerwatywy, co wynika ze statusu prawnego tego zajęcia, bo niby to jest legalne, ale wszystko dookoła jest nielegalne i to powoduje, że te kobiety często są pozostawione same sobie albo żyją w półprzestępczym środowisku, które uniemożliwia im używanie prezerwatyw.

**Majewska:** Trudno o konsultację z lekarzem, bo wstyd powiedzieć, co się robi. Wiele z nich odcina starannie prywatne przyjaźnie i nie mają z kim rozmawiać. Niektóre mają przyjaciółki, które też to robią i mogą się między sobą podzielić zmartwieniem, ale już pójdzie do mamy i powiedzenie: „Pomóż, bo ten facet robi się natarczywy” nie wchodzi w grę. →

REKLAMA

Dobre Konto

## KONTO ZA MNIEJ NIŻ ZERO

Dobre Konto szanuje Twoje pieniądze. To zero opłat za podstawowe usługi oraz zwrot 3% wydatków dokonanych kartą do konta w supermarketach i sklepach spożywczych oraz na stacjach benzynowych – aż do 50 zł co miesiąc.

- 0 zł za prowadzenie konta
- 0 zł za kartę do konta
- 0 zł za przelewy internetowe
- 0 zł za wypłaty ze wszystkich bankomatów w Polsce

zwrot do  
**50 zł**  
co miesiąc



Koszty prowadzenia konta wynoszą mniej niż zero, jeżeli Klient korzysta tylko z wymienionych na planszy bezpłatnych usług oraz zwrotu 3% wydatków na zakupy. Wszystkie korzyści są dostępne w przypadku min. 1000 zł wpływów miesięcznych na konto i min. 1 w miesiącu płatności kartą do konta. Do karty dołączony jest opcjonalny pakiet ubezpieczeń za 2,99 zł miesięcznie. Szczegóły oferty, w tym sposób identyfikowania punktów, w których płatności kartą są objęte zwrotem, zostały zawarte w Cenniku usług oraz Regulaminie dostępnych w oddziałach Banku oraz na [www.bankmillennium.pl](http://www.bankmillennium.pl).

**Millennium**  
bank

Inspira nas życie

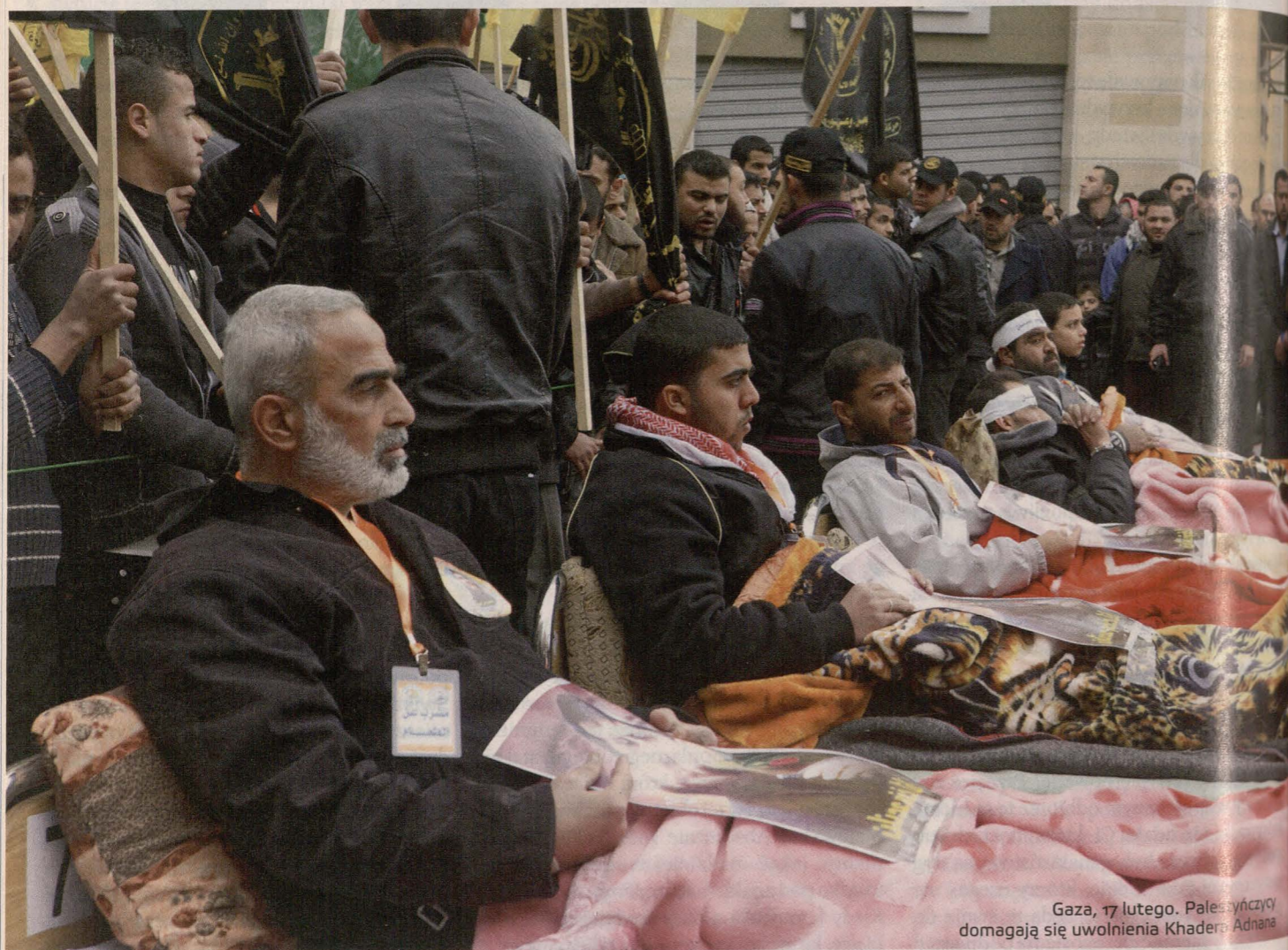
[www.bankmillennium.pl](http://www.bankmillennium.pl)

801 331 331





# Niewidzialny głodujący



Gaza, 17 lutego. Palestyńczycy domagają się uwolnienia Khadera Adnana

**Bojownik IRA Bobbie Sands umarł w więzieniu po 66 dniach głodówki. Palestyńczyk Khader Adnan też nie jadł przez 66 dni. Jego prawnicy właśnie zawarli z izraelskimi władzami ugodę, która ma zakończyć strajk**

## ALA QANDIL Z JEROZOLIMY

**N**oc z 16 na 17 grudnia. Godzina 3.30. Do drzwi domu Khadera Adnana położonego w Arabeh, wiosce na obrzeżach Dżenin, puka Mustafa, zaprzyjaźniony kierowca. Ma opaskę na oczach, a za sobą oddział izraelskiego wojska, który zmusił go, by poprosił do drzwi Khadera. Sytuacja rozwija się błyskawicznie. Żołnierze wpadają

do mieszkania. Na oczach dwóch córek Adnana i żony będącej w ciąży zakuwają mu ręce w kajdanki, zasłaniają oczy i wywlekają na zewnątrz. Wrzucają go do jeepa i znikają. Nie stawiają mu zarzutów. Bo nie muszą.

Khader Adnan zostaje zatrzymany na podstawie izraelskiego prawa militarnego, któremu podlegają Palestyńczycy. Zgodnie z nim osobę podejrzaną o „stanowienie zagrożenia dla bezpieczeństwa” można przetrzymywać

bez stawiania zarzutów i bez procesu. Co sześć miesięcy na podstawie utajnionych dokumentów wojskowy sąd decyduje, czy przedłużyć areszt, czy też zwolnić przetrzymywanego. Ajed Dudin, wicedyrektor wydziału karetek pogotowia w hebrońskim oddziale Palestyńskiego Czerwonego Półksiężycy, spędził w ten sposób trzy i pół roku w izraelskich więzieniach. Jego areszt sądy odnawiały 30 razy. Dwa miesiące po zwolnieniu, w sierpniu zeszłego

roku, został zatrzymany ponownie. Do dziś nie wyszedł na wolność. W przypadku Khadera wyrok sądu to cztery miesiące aresztu administracyjnego. To oczywiście kolejny taki przypadek. Przetrzymywanie przez Izrael palestyńskich więźniów bez daty zwolnienia, bez szansy na proces zostało uznane przez ONZowski Komitet Praw Człowieka za pogwałcenie Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, w tym art. 7, który mówi, że „nikt nie będzie poddawany torturom lub okrutnemu, nieludzkiemu albo poniżającemu traktowaniu lub karaniu”.

Dziś w izraelskich więzieniach jest około 4400 Palestyńczyków, w tym ponad 100 w areszcie administracyjnym. – Prawnicy zawsze mają problem z tym rodzajem spraw, bo zarzuty nie są jawne, dowody również. Więc nie wiadomo, jaką linię obrony przyjmując, żeby pomóc – tłumaczy w rozmowie z „Przebiegiem” Sahar Francis, prawniczka Addameer, palestyńskiej organizacji broniącej praw więźniów. I dodaje: – Większość aresztowanych, w tym dzieci, mówi o pobiciu, kopaniu, groźbach, nielegalnych przeszukaniach, niszczeniu sprzętów w domach, z których są wyciągani najczęściej w środku nocy. W opowieściach niektórych więźniów dodatkowo pojawiają się policyjne psy i granaty hukowe. Typowe jest też zmuszanie sąsiadów, w tym przypadku Mustafy, do służenia za ludzkie tarcze.

## 66 dni głodówki

Adnan ma 33 lata, jest piekarzem, prowadzi też warzywniak. Nosi długą brodę, jest religijnym mężczyzną. Jego żona, zawsze w nikabie zasłaniającą całą twarz, mówi, że teraz jego broda jest jeszcze dłuższa, a jego ciało powoli znika. I że spodziewa się, iż jej mąż umrze. 10 dni temu z Khaderem widziała się Sahar Francis. – W końcu pozwolili mu się wykapać, zmienić ubrania. Jest zupełnie przytomny i zdeterminowany, by kontynuować strajk głodowy.

Mężczyzna ogłosił go na drugi dzień po zatrzymaniu. „Izraelska okupacja posunęła się do ostatnich granic przeciwko naszemu ludowi, szczególnie przeciwko więźniom. Byłem upokarzany, bity i prześladowany przez przestępujących bez żadnego powodu, więc przyśięgam Bogu, że będę zwalczał politykę administracyjnego aresztowania, której ofiarą padłem ja i setki moich współwięźniów” – pisze w liście przedrukowanym przez palestyńską agencję prasową Ma’an.

Adnan jest rzecznikiem radykalnej organizacji Islamski Dżihad i jednym z jej lokalnych liderów. Rodzina mężczyzny twierdzi, że choć był on zawsze politycznie aktywny, nigdy nie

stosował przemocy. Pewnie prościej byłoby zainteresować jego historią media, gdyby był lewicowym działaczem, ale brodaty, religijny mężczyzna z żoną w nikabie nie wzbudza współczucia i zainteresowania – mówią palestyńscy aktywiści. Rozpoczynają intensywną kampanię na blogach, Facebooku i Twitterze, próbując nagłośnić sprawę umiarkowanego mężczyzny. Wyrzucają amerykańskim komentatorom, którzy od lat pouczają Palestyńczyków, że powinni przyjąć taktykę pokojowego oporu, że gdy Adnan właśnie taką strategię realizuje, oni milczą na temat jego protestu.

Jego strajk zjednoczył Palestyńczyków – w piątek 17 lutego przez Zachodni Brzeg i Gazę przetaczają się protesty solidarnościowe pod hasłem „Wszyscy jesteśmy Khaderem Adnanem”. Protestują sympatycy Hamasu, Fatahu, Islamskiego Dżihadu, ale też wielu mniejszych ruchów. Również cotygodniowe demonstracje na Zachodnim Brzegu w wioskach zagrożonych budową muru lub ekspansją izraelskich osiedli odbywają się pod hasłami wsparcia dla Adnana. W końcu przynoszą efekt. 21 lutego prawnicy Adnana i izraelskie władze osiągnęły porozumienie. Mężczyzna nie zostanie natychmiastowo zwolniony, według izraelskich władz również ze względu na stan zdrowia i konieczność leczenia po dwumiesięcznej głodówce.

Będzie przebywał w szpitalu do 17 kwietnia, ale jego areszt administracyjny nie zostanie przedłużony. Tuż po ogłoszeniu ugody przez Ministerstwo Sprawiedliwości poinformowało Addameer, że jeszcze nie wiadomo, czy Khader przystanie na jej warunki i przerwie strajk. Izraelska organizacja Lekarze na rzecz Praw Człowieka ostrzegają, że może być na to za późno. Jego organizm może się już nie zregenerować po tak długiej głodówce.

## Irlandzki łącznik

„Jestem politycznym więźniem, ponieważ jestem ofiarą wieloletniej wojny prowadzonej między represjonowanym irlandzkim ludem i obcym, opresyjnym, niechcianym reżimem, który odmawia wycofania się z naszych ziem” – pisał Bobby Sands z brytyjskiego więzienia. Umarł po 66 dniach głodówki w maju 1981 roku.

O Adnanie jako palestyńskim Sandsie piosenkę napisał David Rovics – politycznie zaangażowany amerykański piosenkarz. Nie tylko historia strajku głodowego w imię walki z okupacją łączy Sandsa z Adnanem. Strukturę systemu więziennictwa, przepisy stanu wyjątkowego, a przede wszystkim instytucję aresztu administracyjnego Izrael przejął po swoim kolonialnym poprzedniku – brytyjskim imperium. Wielka Brytania stosowała wiele identycznych

metod, walcząc z powstańcami z Zielonej Wyspy. Irlandzcy więźniowie na początku lat 70. strajkiem głodowym wywalczyli „specjalny status” – rozumiany powszechnie jako uznanie ich politycznego charakteru. Brytyjczycy próbowali się z tego wycofać i upierali się przy traktowaniu Irlandczyków jak kryminalistów. „Było to częścią szerszej politycznej i wojskowej strategii polegającej na odmawianiu uznania politycznego charakteru konfliktu” – pisze izraelska antropolożka Alina Korn w analizie izraelskiego i brytyjskiego systemu więziennictwa. Podobnie sytuacja wygląda w Izraelu, gdzie palestyńscy więźniowie polityczni często odsiadują wyroki w celach z Izraelczykami skazanymi za pospolite przestępstwa.

Historia Khadera Adnana może być interpretowana na jeszcze inny sposób. Izraelski dziennikarz Joseph Dana zwraca uwagę, że ani Fatah, ani Hamas nie wsparły protestu Adnana w dostatecznym stopniu. – W przededniu palestyńskich wyborów, tuż po podpisaniu porozumień między Hamasem i Fatahem, jakakolwiek powszechna rebelia związana z Adnanem może zamienić się w konfrontację z izraelskimi siłami. Właśnie z tego powodu liderom Hamasu i Fatahu nie spieszyło się z publicznym wsparciem strajku głodowego jako demonstracji pokojowego oporu – pisze Dana.

Prezydent Autonomii Palestyńskiej Mahmud Abbas w końcu odwiedził rodzinę głodującego więźnia. Jego gest może być spóźniony; władze AP coraz wyraźniej tracą legitymację społeczną; przez Zachodni Brzeg w ostatnich tygodniach przetoczyła się seria społecznych protestów przeciwko poczynaniom władz. Z jednej strony protestujący Palestyńczycy sprzeciwiali się rozmowom z Izraelem. Iluzja procesu pokojowego od czasów Oslo pozwala na przedłużanie status quo – trwającej w najlepsze okupacji, wyburzeń palestyńskich domów, brutalnego tłumienia pokojowych demonstracji i ekspansji osiedli. Z drugiej strony protesty wywołały neoliberalna polityka ekonomiczna palestyńskiego premiera Salama Fayada i próby przetrwania ciężaru cięć budżetowych na Palestyńczyków starających się przetrwać w warunkach kulejącej i zwyrodnionej okupacją gospodarki. „Strajk głodowy może stać się placem Tahrir palestyńskich mediów społecznych. Jeśli Izrael i palestyńskie przywództwo nie będą ostrożne, Adnan może stać się palestyńskim Mohamedem Bouazzizim” – pisze Joseph Dana.

A jak wiadomo, śmierć Bouazziziego zapoczątkowała zmiany w Afryce Północnej. ●

Ala Qandil jest korespondentką PAP

# Więcej zaufania, mniej inwigilacji

Pracownik Google fotografuje park wulkaniczny w centralnej Francji



Francis Campagnoni/LA MONTAGNE/PHOTOPQR/FORUM

Nie mogę się zgodzić na zakaz zakrywania twarzy podczas zgromadzeń, bo państwo nie może podejrzewać każdego obywatela – mówi w rozmowie z Anną Mazgal **WOJCIECH RAFAŁ WIEWIÓROWSKI**, Generalny Inspektor Ochrony Danych Osobowych

## Przed kim chroni nas GIODO?

Kiedy w latach 70. i 80. w krajach zachodniej Europy tworzono przepisy dotyczące ochrony danych osobowych, to państwo postrzegano jako Wielkiego Brata,

który może chcieć przetwarzać zbyt dużo informacji na nasz temat. Dziś zaufanie do państwa wzrosło, a przepisy coraz bardziej służą ochronie naszej prywatności w relacjach z biznesem.

Obywatele coraz częściej godzą się na utratę prywatności w stosunkach łączących ich z organami państwa, o ile czują, że służy to ich bezpieczeństwu. Już w latach 70. XX wieku w Niemczech

ingerencję w prywatność uzasadniano zwalczaniem terroryzmu spod znaku organizacji Baader-Meinhof.

**A teraz w Polsce używa się tych argumentów?**

Padają w debacie na temat projektu ustawy o zgromadzeniach. Jako GIODO nie mogę się zgodzić na zakaz zakrywania twarzy podczas zgromadzeń. Wydaje mi się, że państwo nie powinno być nieufne wobec własnych obywateli. Nie może z zasady uważać każdego za podejrzanego.

## Czy w ingerencjach polskiego państwa w prywatność obywateli widać jakąś konsekwencję?

Uważam, że przetwarzanie danych osobowych przez państwo, szczególnie w dobie rozwoju nowoczesnych technologii, rodzi wiele istotnych problemów. Właśnie dlatego tematem przewodnim obchodów Dnia Ochrony Danych Osobowych w 2012 r. było hasło „Co państwo wie o obywatelach? Zasady przetwarzania danych osobowych w rejestrach publicznych”.

W przypadku przetwarzania danych osobowych przez państwo dochodzi bowiem do zderzenia dwóch sprzecznych celów. Z jednej strony chcielibyśmy, żeby administracji publicznej nie trzeba było podawać wielokrotnie tych danych, które już raz jej przekazaliśmy. Zatem chcielibyśmy, aby tworzone przez nią systemy informacyjne były interoperacyjne, a dane przepływały między organami administracji.

Z drugiej jednak strony chcielibyśmy, aby każdy sam decydował o tym, kto i jakie informacje o nim posiada. Tymczasem państwo, realizując pierwszy z tych

celów, doprowadza do sytuacji, w której możliwe jest łączenie się z poszczególnymi rejestrami publicznymi, a urzędnicy – w ramach swoich uprawnień – mogą korzystać z wielu źródeł informacyjnych, zdobywając dane na swoje potrzeby.

## To brzmi sensownie, gdzie zatem czai się niebezpieczeństwo?

Idea nie jest zła, ale w praktyce niesie ze sobą poważne zagrożenia. Gdy konkretny urząd otrzymuje dostęp do jakiegoś rejestru, to zazwyczaj jest to dostęp do całej jego zawartości, a nie tylko do potrzebnej informacji. A jeśli systemy i rejestry są połączone, to wiemy, że potencjalnie jest gdzieś taka osoba w państwie, która może dotrzeć do wszystkich tych zasobów z jednego komputera. Nie twierdzę, że nie ma potrzeby nadania komuś takich uprawnień. Ale chciałbym wiedzieć dokładnie, kto to jest i kto go kontroluje.

Do tej pory najskuteczniejszym strażnikiem naszych danych gromadzonych przez administrację publiczną był chaos. Teraz jednak systemy informacji i rejestry są porządkowane i systematyzowane. To konieczne, tyle tylko że jedynymi osobami, które wiedzą, co w którym systemie się znajduje, nie są prawodawcy ani urzędnicy, tylko informatycy i autorzy logarytmów. Chciałbym wiedzieć, kto tych ludzi zatrudnia i czy państwo wie, jakie systemy informacyjne posiada i jak są one połączone.

A także kto jest „odźwiernym” rozdającym urzędnikom uprawnień dostępu.

## No właśnie, kto nim jest?

Wbrew pozorom sznurki nie zbiegają się w ABW albo w CBA. Mnóstwo z nich zbiega się u wójta, burmistrza, prezydenta miasta lub wojewody, którzy mają dostęp np. do rejestru PESEL, ewidencji gruntów i budynków, rejestru związanego z podatkami lokalnymi i wielu, wielu innych.

Dodatkowo sprawę komplikuje wdrażanie unijnych zasad dotyczących ponownego wykorzystania informacji pochodzących z sektora publicznego. W efekcie informacją publiczną staje się duża liczba danych pochodzących z rejestrów publicznych, zawierających również dane osobowe. Podmioty z sektora gospodarczego lub non profit mogą pozyskiwać informacje publiczne i powtórnie je wykorzystywać, także w celach komercyjnych.

O ile organy władzy publicznej są uprawnione do przetwarzania danych osobowych tylko wówczas i tylko w takim zakresie, na jaki zezwalają im przepisy prawa, na podstawie których działają, o tyle gdy posiadane przez nie dane osobowe zostaną uwolnione do przestrzeni publicznej, sytuacja jest odwrotna: można z nimi zrobić wszystko, czego prawo wyraźnie nie zakazuje. Moim zdaniem nie jesteśmy do tego przygotowani.

Są jeszcze rejestry centralne, takie jak System Informacji Oświatowej czy planowany System Informacji Medycznej. Czy dostęp do tak dużych zbiorów danych nie zagraża naszej prywatności?

Budowanie rejestrów centralnych jest niebezpieczne z dwóch powodów. Istnieje możliwość, że Wielki Brat – państwo – będzie nas śledził, ale ja bym nie przesadzał z tym zagrożeniem. Poza służbami specjalnymi i policją, które mogą mieć w tym pewien interes, to organy takie jak Ministerstwo Zdrowia nie są chyba zainteresowane, by śledzić np. historię naszych operacji plastycznych.

Ktoś jednak mógłby zestawić dane z różnych rejestrów publicznych, w tym SIM, budując nasz profil. Istnieje też niebezpieczeństwo wycieku, np. ataku „Man in the middle”, kiedy podstawiony np. przez prywatną firmę człowiek wykrada dane przesyłane między dwiema komunikującymi się stronami. To doświadczenie niektórych krajów, które wprowadziły centralne rejestry. Izrael stracił tak kontrolę nad odpowiednikiem naszej bazy PESEL.

## Dane o nas to towar o rosnącej wartości?

Informacja o nas i naszych zainteresowaniach oraz życiowych doświadczeniach ma swoją cenę, jej przetwarzanie umożliwia robienie dobrego interesu. Najmniejszym problemem jest spam, jaki możemy otrzymywać, gdy ktoś pozyska nasze dane osobowe. →

REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

**KRS: 0000097123**

Fundacja  
Warszawskie  
Hospicjum  dla Dzieci

**Twój 1% - mój powrót do domu**

[www.hospicjum.waw.pl](http://www.hospicjum.waw.pl)

→ Poważnym problemem może być natomiast utrata kontroli nad danymi, których pozyskanie przez osoby lub podmioty nieuprawnione może nam zaszkodzić. Do takich danych zaliczyłbym informacje dotyczące naszej sytuacji finansowej, numeru karty kredytowej czy konta bankowego, dokonywanych operacji finansowych czy też informacji o długach i ich spłaceniu. Dostęp do tych informacji powinien być limitowany, a mam wrażenie, że zbyt często są one rozdawane.

Druga grupa to informacje o naszym stanie zdrowia. Wiele instytucji, zwłaszcza ubezpieczeniowych, chciałoby mieć do nich dostęp, by obniżyć ryzyko swojej działalności. Rozumiem ich interes biznesowy, jednak ubezpieczenie to umowa, która wiąże się z ryzykiem po obu stronach.

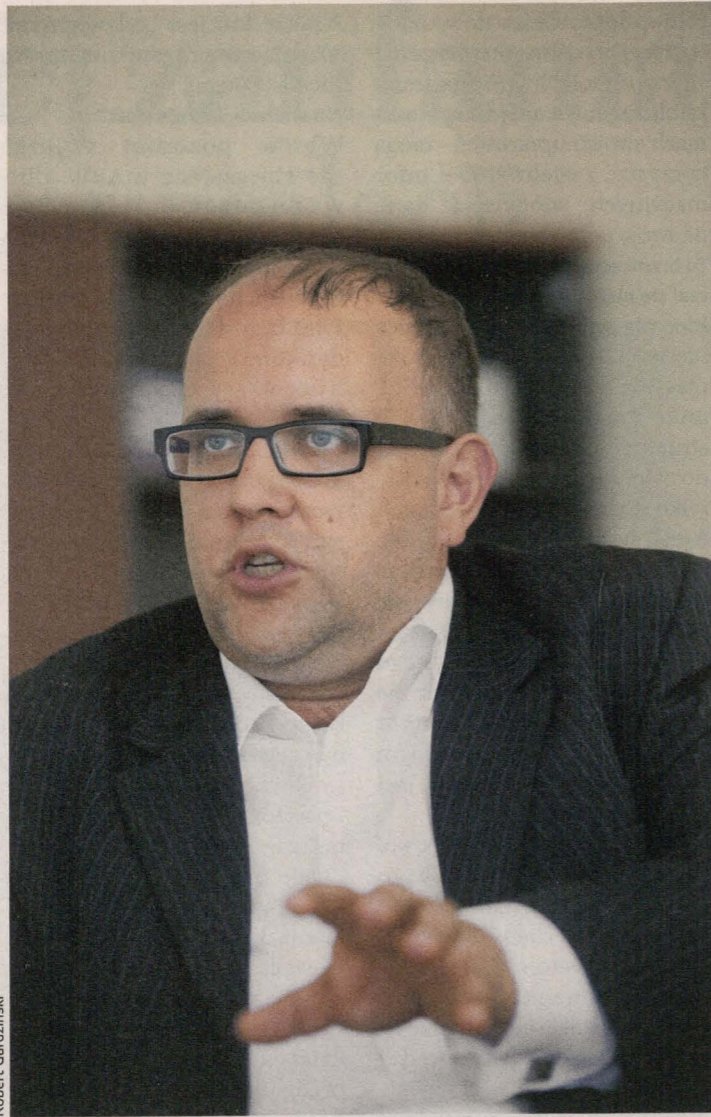
Trzecia grupa to dane dotyczące naszego zachowania, które mogą pochodzić z bardzo wielu źródeł, np. systemów wideonadzoru, urzędzeń, które emitują sygnał radiowy, czy inteligentnych liczników energetycznych.

#### Taki licznik zagraża mojej prywatności?

On informuje m.in., kiedy jest pani w domu. Na etapie badań naukowych jest pozyskiwanie z niego informacji np. o tym, który odcinek „Star Treka” oglądamy.

#### Czy użytkownicy portali społecznościowych są świadomi, jak krążą w sieci informacje zamieszczane na Facebooku?

Istnieje mit o utracie znaczenia prywatności: podobno już nie zależy nam na niej tak jak kiedyś. Polemizowałbym z tym, choć widzę, jak zachowują się ludzie w sieci, sam jestem aktywnym użytkownikiem serwisów społecznościowych. Niemniej znaczna większość ankietowanych obywateli uważa, że prywatność powinna być chroniona, i domaga się prawa do posiadania kilku tożsamości. Uważamy, że mamy prawo zachowywać się inaczej jako ojciec, inaczej



Robert Gerdziński

**„Mam prawo domniemywać, że Ministerstwo Kultury oraz organizacje zbiorowego zarządzania prawami autorskimi uważają, iż wkrótce otrzymają uprawnienia do przetwarzania danych osobowych**

WOJCIECH RAFAŁ WIEWIÓROWSKI

jako pracownik, a jeszcze inaczej jako klient.

Inna kwestia, czy w ogóle jesteśmy w stanie zachować prywatność w tak zmieniającym się świecie. Oczywiście możemy dobrowolnie poddać się kontroli państwa albo przedsiębiorcy, uznając,

że przecież nie mamy nic do ukrycia, bo zachowujemy się poprawnie. Tyle że jest to podejście obce kulturze, w której się wychowaliśmy. Idea anioła stróża obecna w naszej kulturze nigdy nie była łączona z inwigilacją. Oczywiście naruszeń prywatności nie da się

w pełni zwalczyć, podobnie jak naszej niefrasobliwości, z jakimi udostępniamy w sieci swoje dane osobowe. Mamy prawo popełniać głupstwa, ale musimy ponosić ich konsekwencje. Nie oznacza to jednak, że o naszą prywatność nie powinniśmy walczyć i prawnie próbować ograniczyć niepożądane zachowania w tym zakresie.

#### Jak Giodo ocenia nową politykę prywatności Google, która integruje ponad 60 regulaminów różnych produktów firmy w jedną, spójną całość?

Inspektorzy ochrony danych osobowych z całej UE poprosili Google o przesunięcie terminu obowiązywania nowych zasad, a prośbę tę poparła Komisja Europejska. Chcemy w ciągu dwóch tygodni przygotować wspólne stanowisko w tej sprawie. Nie chodzi o ewidentne problemy z nową polityką prywatności, tylko o sam fakt, że Google jest wielkim graczem na rynku europejskim. Lepiej także dla Google, że otrzyma od nas jedno spójne stanowisko, zamiast 27 różnych, jak przy wprowadzaniu usługi Street View, w której zdjęcia ulic i budynków udostępnione są w Internecie.

#### Na czym polega reforma prawa ochrony danych proponowana przez Komisję Europejską?

To prawdziwa rewolucja. W UE obowiązywać będzie jedno rozporządzenie dotyczące ochrony naszych danych osobowych i będzie bezpośrednio stosowane we wszystkich krajach członkowskich. Uzupełnieniem rozporządzenia będzie dyrektywa regulująca odmienności w zakresie ochrony danych w policji i w wymiarze sprawiedliwości w sprawach karnych. Rozporządzenie w zasadzie zastąpi 27, a po przystąpieniu Chorwacji 28 ustaw o ochronie danych osobowych, choć nie do końca, bo harmonizacja dotyczy tylko prawa materialnego. Nie obejmuje procedury i kontroli sądowej.

W rozporządzeniu pojawia się m.in. zasada „one stop shop”,

która polega na tym, że podmiot, wykonując pewnego rodzaju działania wspólnie z organem ochrony danych osobowych w swoim kraju, może uznawać, że te działania zostały wykonane w stosunku do 27 krajów członkowskich. To oznacza, że nie musi ich wykonywać 27 razy, bo np. jeśli rejestruje zbiór danych osobowych – nawet tzw. wrażliwych – w jednym kraju, to automatycznie rejestracja ta zostanie dokonana w 26 pozostałych krajach członkowskich. Jednocześnie liberalizuje się przepisy dotyczące rejestracji zbiorów danych zawierających dane osobowe tzw. zwykłe. Pozostanie jednak obowiązek rejestracji zbiorów danych zawierających dane wrażliwe.

Nowa jest konieczność zgłaszania incydentów dotyczących ochrony danych. Dzisiaj np. bank, który utraci dane swoich klientów, nie ma obowiązku zgłaszania tego komukolwiek.

#### Klientom też nie?

Banki robią to tylko dlatego, że ujawnienie przez osoby trzecie informacji o utracie danych rujnuje ich reputację. Instytucje finansowe czy ubezpieczeniowe po prostu kalkulują, co im się bardziej opłaca: informować klientów czy nie. Lepiej, żeby miały taki obowiązek.

Dla Polaków największą nowością będzie wprowadzenie kar administracyjnych za naruszenia – bardzo dotkliwych, rzędu miliona euro czy pięciu procent obrotu przedsiębiorstwa. W tej chwili najwyższa kara, którą w wyjątkowych sytuacjach możemy wyegzekwować, to 50 tys. zł grzywny w celu przymuszenia do wykonania decyzji administracyjnej GIODO. Wszystkie te zmiany mogą zacząć obowiązywać już w 2014 r.

Unia Europejska z jednej strony wzmacnia ochronę danych osobowych, a z drugiej ratyfikuje porozumienie ACTA, które umożliwia przekazywanie danych osobowych o klientach między prywatnymi firmami.

Podczas gdańskiej debaty o ACTA powiedziałem, że zdaję sobie sprawę z tego, że mogę być traktowany jako paranoik, któremu ubzdurało się, że ktoś próbuje dokonać zamachu na wolności obywatelskie. Sam uznałbym, że nim jestem, gdyby nie to, że widziałem, jakie działania były podejmowane wraz z przyjmowaniem ACTA, również w Polsce.

W zeszłym roku Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego uczestniczyło w przygotowaniu porozumienia pomiędzy operatorami telekomunikacyjnymi, dostawcami usług internetowych a organizacjami zbiorowego zarządzania prawami autorskimi. Jego elementem była możliwość przekazywania tym organizacjom danych osobowych osób, które np. wymieniają się plikami w Internecie.

W przygotowaniu tej umowy brały udział podmioty, które nazywają siebie przedstawicielami twórców, choć – moim zdaniem – z perspektywy prawa polskiego nimi nie są. Zwłaszcza jeśli chodzi o BSA (Business Software Alliance – przyp. A.M.), które wystawiło ministerstwu prywatny certyfikat potwierdzający, że nie jest ono „złodziejem”. To zaskakujące, że resort przyjmuje certyfikat, który nie jest, jak w przypadku ISO, certyfikatem międzynarodowej organizacji normalizacyjnej, ale dokumentem od prywatnej firmy, która jest stroną porozumienia opracowywanego w MKiDN.

**Jakie były losy tego porozumienia?** Próba jego zawarcia została w zeszłym roku zablokowana m.in. przez GIODO. Brak jest podstaw prawnych do wymiany pomiędzy tymi organizacjami danych osobowych użytkowników Internetu. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w tym samym czasie zgłosiło projekt uchwały wyrażającej zgodę na podpisanie ACTA i zawiesiło prace nad zablokowanym porozumieniem do czasu pojawienia się nowych

podstaw prawnych. Mam prawo domniemywać, że MKiDN oraz organizacje zbiorowego zarządzania prawami autorskimi uważają, że wkrótce otrzymają uprawnienia do przetwarzania danych osobowych.

#### Co to może w praktyce oznaczać?

Możliwe, że za dwa lata spotkamy się w sądzie, gdzie organizacja zbiorowego zarządzania prawami autorskimi będzie twierdziła, że ma prawo przekazywać za granicę dane osób naruszających prawo własności intelektualnej, a operatorzy telekomunikacyjni oraz GIODO, że jest to absolutnie niedopuszczalne. Jeżeli tak się stanie, to chciałbym wiedzieć, do czego Polska się zobowiązała, składając podpis pod ACTA. Czy podpisała traktat, który miał zmieniać prawo polskie, czy też umowę, która jedynie petryfikuje „doskonały europejski system ochrony praw własności intelektualnej” i ma zamiar rozszerzać tę ideę na pozostałe kontynenty świata? Jeśli to drugie rozwiązanie jest prawdziwe, to napiszmy to wprost, tak jak napisała to Rada Unii Europejskiej, przyjmując ACTA. Co ciekawe, ci sami urzędnicy działający w ramach polskiej prezydencji potrafili napisać uzasadnienie dla Rady UE. Uzasadnienia dotyczącego podpisania tego traktatu przez Polskę nikt nie widział. **Dlaczego porozumienie ACTA nie było konsultowane przez Giodo?** Tego nie wiem, choć wydaje mi się, że jako organ ochrony danych osobowych powinienem być w ten proces włączony. Niemniej nie obrażam się z tego powodu. Uważam nawet, że ratyfikacja tego traktatu jest możliwa – ale pod warunkiem, że ktoś udowodni, iż jest to naprawdę niezbędne. Zwłaszcza że artykuł 31 Konstytucji RP stanowi, iż ingerencja w prawa i wolności obywatelskie może być dokonywana tylko wtedy, kiedy jest to niezbędne w demokratycznym państwie prawa.

Poradnik PIT 2011  
JUŻ W KIOSKACH

## Jak łatwo i szybko rozliczyć PIT 2011

- jaki formularz wybrać i jak przesłać go do urzędu skarbowego
- ulgi i odliczenia, z których wolno korzystać
- jak poprawiać błędy w zeznaniu
- wspólne rozliczenie: z małżonkiem i z dzieckiem



Wewnątrz broszury znajdziesz kod do programu do rozliczenia PIT

RZECZPOSPOLITA

rp.pl/hity

Dlaczego link na stronie europarlamentarzysty Jerzego Buzka zamiast do Centrum Informacji Obywatelskiej przekierowuje do serwisu o tatuażach?

AGNIESZKA ŁADA,  
MALGORZATA FALKOWSKA-WARSKA



Wiktor Dąbkowski/PAP

# Politycy w sieci jak we mgle

**P**o decyzji premiera Tuska o wycofaniu Polski z ACTA europosłowie PO wywierkali na portalach społecznościowych, że będą głosować w Parlamencie Europejskim przeciw umowie. Jednak większość polskich eurodeputowanych tylko w teorii rozumie znaczenie Internetu. Facebook, YouTube, Twitter to dla nich gadżety, które trzeba mieć. Pytanie – po co?

Żeby włączyć się w tajniki ACTA, trzeba dobrze orientować się, jak działa sieciowa globalna wioska. A taką wiedzę najlepiej zdobywa się samemu, funkcjonując w sieci. Jak wynika z badań Instytutu Spraw Publicznych, większość polskich posłów do PE dopiero zaczyna odnajdywać się w Internecie. Choć jest też kilku prymusów.

Zdecydowana większość posłów ma swoją stronę internetową i podaje, że codziennie korzysta z sieci w celu komunikacji. Osobiste spotkania ustępują kontaktom on-line. Z przedstawicielami instytucji UE, agencji konsultingowych w Brukseli i Strasburgu posłowie

spotykają się kilka razy w tygodniu, jeszcze rzadziej niż z obywatelami w regionie.

Zdecydowana większość posłów traktuje aktywność on-line jako element całościowej strategii komunikacyjnej. Ale ich działaniom często daleko do profesjonalizmu i systematyczności.

## Elektroniczna wizytówka

Strona jest zazwyczaj uaktualniana z przyzwyczajoną częstotliwością. Z 50 posłów 32 aktualizują ją przynajmniej raz w tygodniu, tylko sześciu rzadziej niż kilka razy w miesiącu.

Dowodem na to, że praktyka dbałości o strony nie zawsze wygląda dobrze, jest przykład byłych posłów PiS Tadeusza Cymańskiego i Zbigniewa Ziobry, którzy założyli nowe ugrupowanie (Solidarna Polska), a następnie zmienili w Parlamencie Europejskim grupę polityczną z Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR) na Europę Wolności i Demokracji (EFD). Jednak nadal mają oni na swoich stronach internetowych logo

EKR, a nie EFD! Co więcej, według oficjalnej strony Zbigniewa Ziobry nadal jest on wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości. Na oficjalnej stronie Parlamentu Europejskiego przyczyniło się do tego Jacka Kurskiego i Jacka Wołosowicza – widnieje informacja, że wciąż należą do PiS.

Prawie wszyscy polscy europosłowie wstawiają na swoje strony zdjęcia, ale już filmy, infografiki czy animacje ma niewielu. Jedynie Małgorzata Handzlik, Marek Migalski, Róża Thun i Rafał Trzaskowski zamieszczają na swoich stronach wszystkie formy. Także wizualnie większość stron posłów nie zachęca do wglądania się w ich treści.

## Samotni na Facebooku

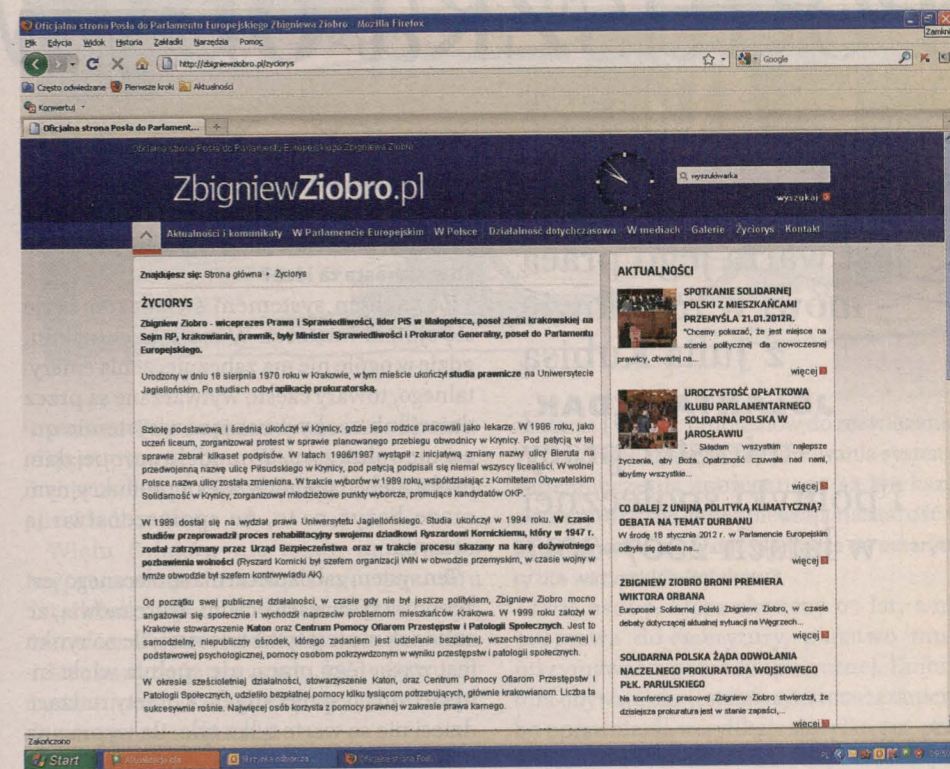
Mało zachęcające do interakcji są także fanpage'e na Facebooku. Moda na portale społecznościowe jest już w Polsce powszechna także wśród polityków, ale ilość zainteresowanych nimi odbiorców na razie nie jest duża.

Na 25 fanpage'ach, jakie mają polscy europosłowie, więcej niż 1000 fanów udało się zgromadzić, poza samotnym liderem Jerzysm Buzkiem (44,5 tys.), tylko Tadeuszowi Zwiefce, Wojciechowi Olejniczakowi, Joannie Senyszyn, Rafałowi Trzaskowskiemu, Pawłowi Kowalowi oraz Róży Thun. Niektórym posłom z innych krajów idzie lepiej: rekordzistkami są włoskie deputowane Debora Serracchiani (ma ponad 57 tys. fanów) i Sonia Alfano (ponad 32 tys.).

Na Facebooku nie wystarczy mieć fanów. Liczy się ich aktywność – „polubienie” wpisu, skomentowanie go, podlinkowanie tekstu. A to zależy od aktywności prowadzącego. Niektórym, jak Wojciechowi Olejniczakowi, wychodzi to całkiem dobrze, u innych panuje kompletna cisza. Co ciekawe, niską aktywność fanów widać także na stronach, które polubiło wielu internautów: Tadeusza Zwiefki czy Joannę Senyszyn.

Własny kanał na portalu YouTube ma 28 z 50 posłów, więcej niż fanpage'y na Facebooku (25) czy kont na Twitterze (20). Jednak YouTube to narzędzie trudne do wypromowania i mało skuteczne w przypadku europosłów. Ich filmy wyświetlane są średnio tylko po 500 razy. Relatywnie dużą

←Paweł Kowal, Marek Migalski i Jacek Kurski na sali plenarnej europarlamentu



Zbigniew Ziobro w swoim oficjalnym życiorysie utrzymuje, że ciągle jest wiceszefem PiS

ogładalnością cieszą się jedynie te, w których występują znani aktorzy: Borys Szycc (kanał Róży Thun) oraz Michał Żebrowski (Rafała Trzaskowskiego).

## Własna twórczość radosna

Trzy czwarte ankietowanych posłów podaje, że komunikację on-line prowadzi dla nich własne biuro poselskie. Jedynie trzech przyznaje, że korzysta z pomocy profesjonalnej agencji PR. Tymczasem prowadzenie profesjonalnej komunikacji on-line wymaga wiedzy i czasu.

Nawet najlepiej przygotowanym posłom zdarzają się wpadki. Były PiS-owski spin doktor Adam Bielan przez dobrych kilka miesięcy przekierowywał ze swojej strony nie na własne konto na Twitterze, ale na konto brazylijskiego internauty, a jego podstrona z życiorysem nadal jest pusta. Z kolei na stronie Jerzego Buzka nie działają niektóre linki (np. do PE czy do śląskiej PO), a link do Centrum Informacji Obywatelskiej przekierowuje do serwisu o tatuażach.

Relatywnie niska aktywność oraz wykorzystanie starych technologii (także marketingowych) sugerują, że większość posłów nie traktuje komunikacji w sieci jako podstawowego obowiązku swojego biura i nie myśli o niej

jako do działania wymagającym profesjonalizacji. Także partie i grupy polityczne w większości nie wspierają systematycznie swoich członków w ich aktywności on-line (wyjątkiem jest tu grupa chrześcijańskich demokratów).

Zapytani o bariery, jakie napotykają w swojej komunikacji on-line, posłowie nie skarżą się jednak na własne zaplecze. Przeszkód upatrują w braku czasu oraz ograniczonym dostępie polskiego społeczeństwa do sieci.

Tymczasem w używanych z poletem, zaangażowaniem, dystansem do samego siebie narzędziach internetowych tkwi ogromny potencjał docierania do obywateli. Zamieszanie wokół ACTA sprawiło, że wielu posłów może zechcieć zaistnieć w sieci. Byłe tylko chcieli w niej zostać.

Badanie Instytutu Spraw Publicznych przeprowadzono na grupie wszystkich 50 polskich posłów do Parlamentu Europejskiego między październikiem 2011 r. a styczniem 2012 r. Jego częścią była cytowana ankieta, na którą odpowiedziało 34 posłów. Wstępne wyniki badań dostępne są na [www.isp.org.pl](http://www.isp.org.pl). Pełny raport z badań ukaze się wiosną 2012 r.

Dr Agnieszka Łada jest kierownikiem i starszym analitykiem Malgorzata Falkowska-Warska jest analitykiem Programu Europejskiego Instytutu Spraw Publicznych

# Poduszka obywatelska

Człowiek nie jest tylko tyle wart, ile na rynku jest warta jego praca – mówi w rozmowie z Julią Kubisą

**JOLANTA FEDAK,**  
minister pracy  
i polityki społecznej  
w latach 2007–2011

Jako minister pracy rzuciła pani hasło emerytur obywatelskich, niskich, ale równych dla wszystkich – także dla tych, którzy nigdy nie płacili składek. Z jakiej koncepcji obywatelstwa wyrasta ta idea?

– Za każdym systemem świadczeń kryje się system wartości. W modelu chińskim, gdzie w ogóle nie ma zabezpieczenia emerytalnego, towary często wytwarzane są przez dzieci lub osoby pracujące w systemie quasi-niewolniczym. W modelu europejskim osoba niebędąca już w wieku produkcyjnym może liczyć na to, że społeczeństwo ją utrzyma.

Ten system zabezpieczenia społecznego jest zgodny z tymi wartościami, które mówią, że człowiek nie jest tylko tyle wart, ile na rynku jest warta jego praca, ale spełnia wiele innych funkcji społecznych. Kobiety rodzące dzieci nie są warte tylko tyle, ile wypracują na rynku.

Jaki był odzew w Polsce na pomysł emerytury obywatelskiej?

– Ignorowanie sytuacji osób, które nie płacą składek emerytalnych, to forma darwinizmu społecznego. Ci, którzy to rozumieją, przyjmowali mój pomysł z entuzjazmem. Ci, którzy uważają, że ludzie z natury nie chcą pracować, przyjmowali go sceptycznie.

Wychodzę z założenia, że człowiek chce dla siebie raczej lepiej niż gorzej, choć jeżeli ma pracę, to chce pracować. Jeśli ma do wyboru niską emeryturę i dobrą pracę, wybierze pracę. Jeśli zaś ma wybór między niską emeryturą a brakiem zatrudnienia, to wybierze emeryturę. Praca to nie tylko zabezpieczenie materialne, ale kwestia godności człowieka, kondycji psychicznej, przydatności w społeczeństwie.

Brak pracy jest ogromnym nieszczęściem zarówno dla jednostki, jak i dla rodziny. Polaków pytano w badaniach, co jest dla nich

największym nieszczęściem. Kilka lat temu były to utrata bliskiej osoby, rozwód i utrata pracy. Teraz utrata pracy jest przed rozwodem. I trudno się dziwić...

Dla człowieka pozbawionego pracy emerytura obywatelska może być poduszką.

– Tak, poduszką dla tych, którzy często nie ze swojej woli i winy mają problemy z funkcjonowaniem w systemie powszechnym. Byłoby to również zabezpieczenie dla kobiet, które przez długi czas opiekują się dziećmi. To przecież całkowicie usprawiedliwiona nieobecność na rynku pracy.

Czy emerytura obywatelska przyczyniłaby się do powiększenia szarej strefy?

– Ludzie wolą być ubezpieczeni, wolą pracować legalnie niż nielegalnie. Nielegalna praca wiąże się z komplikacjami, np. brakiem ubezpieczenia zdrowotnego, zabezpieczenia w razie wypadku.

Na razie warunki dyktują pracodawcy.

– Pozycja pracowników na rynku zależy od tego, ile potrzeba pracy. W 2008 r., kiedy bezrobocie było niskie, pracodawcy oferowali dużo lepsze warunki. W cywilizowanym kraju pracowników się ubezpiecza. Ktoś, kto tego nie robi, powinien być dotknięty karami oraz ostracyzmem społecznym.

Czy system emerytur obywatelskich sprawdza się w praktyce?

– To pomysł znany w Europie i na świecie. Może uzupełniać znany nam system zdefiniowanej składki, który mówi: „im dłużej pracujesz, tym więcej dostaniesz na starość”. Wtedy obejmuje osoby, które z różnych względów nie funkcjonują w systemie powszechnym, np. pracują na umowy o dzieło lub nie mogą znaleźć żadnej pracy. System emerytur obywatelskich może też funkcjonować samodzielnie, jak np. w Kanadzie czy Australii. Tam obejmuje wszystkich obywateli.

Z krajów europejskich przykładem jest Szwecja – tam osoba, która nigdy nie pracowała, ma prawo do niewielkiej emerytury w ramach systemu uzupełniającego.

Jak na pomysł emerytury obywatelskiej dla Polaków zareagowali partnerzy społeczni?

– Nie konsultowałam tego w Komisji Trójstronnej, bo nie był to projekt ustawy, tylko rozpoczęcie dyskusji na temat zabezpieczenia osób, które nie wypracowały składek. Wiem, że koncepcja dochodu gwarantowanego prezentowana przez OPZZ jest dość podobna do emerytury obywatelskiej, natomiast „Solidarność” chce podniesienia zasiłków stałych.

Pracodawcy?

– Podkreślali, że głównym źródłem zabezpieczenia powinna być praca. Tak też



uważam. Tyle że pracodawcy nie odpowiadają na pytanie, co zrobić, jak pracy nie ma. I co z osobami zatrudnianymi na umowy nieskładkowe.

Wielu Polaków nie miało możliwości wypracowania minimalnego poziomu lat składkowych. Polska przeszła ciężką transformację gospodarczą, dwie poważne restrukturyzacje przemysłu, które wyrzuciły tysiące ludzi poza rynek pracy i możliwość legalnego zatrudnienia.

Pomysł emerytury obywatelskiej jest oparty na zupełnie innym systemie wartości niż ten, do którego odwoływała się reforma emerytalna z 1999 r.

– Filozofia tamtej reformy, która mówi: „ile sobie odłożysz, tyle będziesz miał”, w moim pojęciu niewiele ma wspólnego z zabezpieczeniem społecznym. To po prostu system samodzielnego oszczędzania. A zabezpieczenie społeczne ma polegać na wzajemnym ubezpieczeniu się. Pokolenie przed nami zostawia nam wybudowane drogi, maszyny, szkoły – i w zamian za to otrzymuje zabezpieczenie. Jesteśmy wspólnotą i mamy wobec siebie zobowiązania.

Polacy nie mają zaufania do rozwiązań proponowanych przez państwo. Dwanaście lat temu obiecywano emerytom życie pod palmami, teraz mówi się: to oczywiście, że emerytury będą niższe.

– Dotknęła pani istotnego problemu. W polityce społecznej i gospodarczej należy mówić wprost, co robimy. Faktycznie reforma polegała na tym, że emerytury jedną ustawą obniżono o 30 proc. Jeżeli teraz przesuniemy wiek emerytalny do 67 lat, dodałabym do ustawy przepis zobowiązujący do sprawdzenia po kilku latach, jak wysokie są emerytury i czy ludzie mają pracę. Jeśli to nie zadziała, trzeba będzie ustawę poprawić.

W tamtej reformie nie było monitoringu i stąd zawiedzione nadzieje, dzisiejszy brak

zaufania i tysiące problemów do rozwiązania. W rezultacie koszty funkcjonowania systemu zabezpieczenia społecznego są większe, a emerytury nie zabezpieczają na starość.

Skąd państwo ma wziąć pieniądze na emerytury dla wszystkich Polaków?

– Dziś osobę, która skończy 65 lat, a nie ma prawa do emerytury, państwo musi utrzymywać z pomocy społecznej. Emerytura obywatelska jest tańszym rozwiązaniem, bo uprawnienia weryfikuje się tylko raz, przy wejściu do systemu. Pomoc społeczna jest kierowana indywidualnie do osoby i pochodzi z różnych źródeł: może być to zasiłek celowy, zasiłek okresowy, zasiłek stały, talon na wyższy wiek, dodatek mieszkaniowy – uprawnienia do wszystkich tych świadczeń są co jakiś czas oddzielnie weryfikowane.

Pomoc społeczna powinna być kierowana do tych osób, które sobie nie radzą, ale jest szansa, że wejdą na rynek pracy. Osoba, która osiąga wiek emerytalny z przyczyn naturalnych, na rynek pracy już nie wejdzie. Dlatego emerytura obywatelska jest prostszym i lepszym rozwiązaniem. Choć nie ulega wątpliwości, że źródłem pokrycia kosztów emerytur obywatelskich musiałyby być podatki.

Wyższe?

– Niekoniecznie, bo duża część podatków idzie na pomoc społeczną.

Pieniądzy na pomoc społeczną jest dziś za mało, zasiłki są bardzo niskie.

– Nikt nie mówi o tym, że emerytura obywatelska miałaby być wysoka. Wszystko zależy od tego, jaką grupę chcielibyśmy nią objąć i w jakim terminie.

Polityka społeczna i polityka zatrudnienia to system naczyni połączonych. Reformatorzy w 1999 r. uznali, że system emerytalny jest wyabstrahowany z finansów publicznych i skończyło się to porażką. Na razie nie mówimy o konkretnej ustawie, tylko o idei. ●



# Emerytalny interes

Czy w tej sztandarowej reformie chodzi o zadowolenie ekspertów, a nie o wymierny kształt przyszłości dla nas wszystkich?

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ

**P**remier Tusk postanowił zadowolić ekspertów i ruszyć z „niezbędnymi reformami”, bez których czekają nas kryzys, wzrost zadłużenia i ogólny upadek gospodarki. W takiej sytuacji trudno się nie cieszyć. Można oczekiwać, że premier i rządząca koalicja skończą wreszcie z rozwiązaniami, które nas do owego kryzysu gwałtownie popychają. Takimi np. jak prezenty dla najbogatszych w postaci obniżek podatków, które kosztują budżet co najmniej 8 mld zł rocznie.

Albo takimi jak pasożytniczy system prywatnych funduszy emerytalnych, które mimo ograniczenia strumienia przekazywanych im środków wciąż wyciągają z kieszeni polskich pracowników via ZUS ok. 14 mld zł rocznie, dając w zamian solidne obietnice wypłaty emerytur o co najmniej 30 proc. niższych od tych w systemie opartym na solidarności pokoleń. A może rząd rozprawi się z umowami cywilnoprawnymi, na których pracuje co trzeci zatrudniony w Polsce, a które przynoszą budżetowi wielomiliardowe straty wynikające z niezapłaconych składek ZUS, które trzeba pokryć?

Można by też przypomnieć sobie o zaniechanych pomysłach wprowadzenia podatku od operacji finansowych (4 mld rocznie) czy możliwości uniknięcia wydatków na kolonialną wojnę w Afganistanie (1,5 mld rocznie). Można by, ale po co, skoro premier znalazł lepsze rozwiązanie? Korzyści wprawdzie będą nieporównanie mniejsze (według optymistycznych założeń rządu średnio jakieś 5-6 mld rocznie w ciągu najbliższych ośmiu lat, a i to jeżeli nie uwzględnimy kosztów jego realizacji), za to zadowolenie ekspertów nieporównanie większe. A przecież o to właśnie chodzi i dlatego podniesienie wieku emerytalnego kobiet stało się nagłą sprawą najwyższej wagi.

Premier rzucił na szalę swój autorytet z przekonaniem równym zaangażowaniu

w porozumienie ACTA. Wśród sojuszników ma nie tylko niezawodne konfederacje i kluby pracodawców. W pewnej dużej gazecie pojawiła się pedagogiczna historyjka z życia wzięta o sześćdziesięcioparolatku dzielącym się z czytelnikami swoją radością z tego, że wciąż pracuje. Dostajemy tu dwa w jednym: nie dość, że nasz senior nie stanowi obciążenia dla gospodarki narodowej, a nawet przyczynia się do wzrostu PKB, to jeszcze czerpie przyjemność z wcielania w życie rynkowego ducha rywalizacji. Po czymś takim całkiem poważnie można się spodziewać historii przekonują-



Rys. Marek Raczkowski

cych, że podniesienie wieku emerytalnego to element walki z dyskryminacją osób starszych, a przeciwników rządowego pomysłu oskarżających o ejdzym (czyli dyskryminację ze względu na wiek).

Wróćmy jednak na ziemię. Tutaj zaś mamy wzrastające od czterech lat bezrobocie i rosnącą grupę pracujących biednych (obecnie 2 mln). W takiej sytuacji podwyższanie wieku emerytalnego – zwiększenie „podaży pracy”, przy coraz mniejszym „popycie na pracę” ze strony rynku – z pewnością pogorszy położenie wszystkich pracowników. Tak młodzi, jak i starsi będą zarabiali mniej

i pracowali w gorszych warunkach, o ile oczywiście znajdą jakąkolwiek pracę (a w tych poszukiwaniach starsi są już dziś pokrzywdzeni, bo pracodawcy słusznie boją się, że będą zmuszeni częściej uwzględniać ich zwolnienia lekarskie).

Wracającym niczym bumerang argumentem za podwyższeniem wieku emerytalnego jest twierdzenie, jakoby wzrost liczby emerytów i spadek liczby młodych pracowników miały rozsądzić system. Rachunek ten nie uwzględnia podstawowej przesłanki – wzrostu produktywności i wydajności pracy. Gdyby wziąć go pod uwagę (tylko w latach 2000-2005 w Polsce wydajność wzrosła o 43 proc.), okazałoby się, że straszanie przyszłością, w której jeden pracownik będzie musiał utrzymać dwóch emerytów, nie ma najmniejszego sensu. Wzrost wydajności sprawia, że nawet owych dwóch seniorów będzie ważyło mniej niż obecnie, gdy dwóch pracujących przypada na jednego emeryta.

W gruncie rzeczy widać jasno, że wpływa to na korzyść systemu opartego na solidarności międzypokoleniowej, czyniąc go coraz bardziej wydajnym. Zupełnie odwrotnie, niż chcieliby jego krytycy. To nie tylko argument przeciw OFE, ale także przeciw podwyższaniu wieku emerytalnego. Dlaczego zatem tak uporczywie pomija się kwestię wzrostu wydajności? Bo okazałoby się, że celem reformy wcale nie jest ocalenie budżetu, ale – a mianowicie zysków kapitału.

Jeżeli uświadomimy sobie, że korzyści ze wzrostu wydajności idą przede wszystkim do kieszeni kapitalistów, a zwiększenie liczby pracowników na rynku pogorszy ich już i tak słabą pozycję, zobaczymy, jaki jest sens dłuższej pracy kobiet, mężczyzn zresztą także.

MONDE  
diplomatique

Przemysław Wielgosz  
jest redaktorem naczelnym  
Le Monde diplomatique  
– edycja polska

# Niepokalane w iPhonie

Czy zastanawialiście się kiedyś, co kryje się za terminem niepokalanego poczęcia?



Corbis

TOMASZ MATKOWSKI

**W**pisywałem sobie jakieś terminy w kalendarzu i uderzyło mnie, że iPhone ma podwójną opcję czytania kalendarza: zgodnie z terminem strefy czasowej, w której wydarzenie zostało zapisane, albo zgodnie ze strefą czasową, w której się właśnie znajdujemy – a która przecież nie musi być ta sama, jeżeli tymczasem się przenieśliśmy.

To ciekawie relatywizuje nasze poczucie niezmienności kalendarza. Czym jest kalendarz? Do czego służy oprócz swej funkcji codziennej? Do zakreślenia granic, oczywiście. Do odgródzenia się od tych, którzy mają lub nie mieli inne kalendarze: Chińczyków, Azteków, Hindusów... I do odgródzenia się od tych, którzy żyli przed nami. Nasza era – to pojęcie ma nas odseparować od poprzedników. Początek naszej ery spełnia kalendarzową funkcję założycielską jak każdy inny mit o początku świata. Dzięki kalendarzowi trwamy w ograniczonej czasoprzestrzeni. Kalendarz to nasze podwórko. Nie mamy nic wspólnego z istotami – niższymi, oczywiście – które żyły lub nadal żyją poza tym podwórkiem.

Historia i prehistoria. Nasze i nie nasze. Współczesna technika relatywizuje kalendarze, jak to widać na przykładzie iPhone'a albo na przykładzie odkrycia, że Chrystus urodził się sześć lat wcześniej, niż do niedawna sądzono – co stawia pod znakiem zapytania

wszystkie daty naszej ery jak i potoczne określenie „wiek chrystusowy” – które nie oznacza już 33, lecz 39 lat.

Ciekawym murem czasoprzestrzennym jest data narodzin każdego z nas. Nawiasem mówiąc wszyscy, którzy walczą o nienaruszalność płodów, powinni tę granicę przesunąć na dzień poczęcia. Jakkolwiek niełatwo byłoby ten dzień ustalić.

Konsekwentnie powinni też nie składać sobie życzeń z okazji urodzin, tylko z okazji poczęcia. Prezenty poczęcinowe, zaproszenie gości na poczęcinę itp.

A jeszcze ściślej, skoro dla nich człowiek zaczyna się od zygoty – powinni obchodzić dzień zzygocenia.

No i oczywiście katolicy powinni świętować święta Bożego Poczęcia, a nie Bożego Narodzenia. Tylko jak ustalić ten dzień, skoro poczęcie było niepokalane?

Zastanówmy się przy okazji co kryje się w micie niepokalanego poczęcia. Ile złośliwych sugestii, ile chęci dokuczenia. Niepokalane, czyli takie, które nie było skalane. Skalane, czyli pobrudzone kałem. Kał jest tu ewidentnie obecny, tak jak w zwrocie „kalać własne gniazdo” – dosłownie defekować w miejscu, gdzie się żyje. A więc zgodnie z tym mitem każde inne poczęcie oprócz „niepokalanego”, czyli każdy akt seksualny, jest pobrudzony kałem.

Czy to tylko wizja fanatyków, może dyktowana zawiścią (wymyślili ten mit starcy lub osoby odsunięte od seksu, na przykład kapłani albo impotenci), czy też może tkwią tu jakieś inne przyczyny? Może autorzy tego mitu nie wiedzą tak naprawdę, na czym polega stosunek seksualny, i wyobrażają sobie, że jest to coś w rodzaju seksu analnego, co oczywiście kojarzy im się z kałem? A więc autorzy mitu nigdy nie zaznali seksu. A w każdym razie seksu z niewiastą. Co więcej, nie wiedzą nic o anatomii niewiasty ani o biologii poczęcia. Poczęcie wyobrażają sobie jako straszliwą scenę, gdzie mężczyzna robi kupę na brzuch kobiety i z tej kupy, która jakimś mistycznym

kanałem przenika do jej „łona”, rodzi się nowy człowiek. W świetle takiej wizji oczywiście każdy człowiek jest pokalany. Z wyjątkiem tego, który został poczęty niepokalanie – cokolwiek by to znaczyło.

Ale skąd w takim razie ten wyjątek? Dlaczego raz, jeden jedyny raz w historii ludzkości doszło do poczęcia bez udziału kału? Prawdopodobnie chodzi o to, żeby z bóstwa zdjąć odium, które ten mit rzuca na całą ludzkość. Bo mit ten, jeden z najbrzydliwszych, rzuca cień na wszystko i na wszystkich.

Wpaja nam, tak jak mit o grzechu pierworodnym, poczucie winy. Do czego autorom mitów potrzebne jest poczucie winy? Odpowiedź jest prosta: poczucie winy rozbraja. Trudno jest się buntować przeciw cemukolwiek czy komukolwiek, gdy jest się trawionym poczuciem winy. Społeczność osłabiona tym poczuciem jest łatwiejsza do manipulowania, skłonniejsza do posłuszeństwa.

Wpajanie poczucia wstydu i winy to oczywiście manipulacja nie tylko religijna – posługuje się tą metodą, kto tylko może: politycy, wychowawcy, rodzice, każdy, kto musi – lub chce – zarządzać innymi.

A może to pojęcie niepokalaności jest tylko metaforą? Jeśli nawet tak, niewiele to zmienia. „Niech nas Bóg chroni od złego ducha i od metafor” – jak napisał onegdaj wybitny stylistyka Paul Louis Courier de Méré.

**D**o lekcji religii w szkole polscy rodzice przyzwyczaili się tak dalece, iż pomysł ich likwidacji wzbudziłby stanowczy sprzeciw. Zwolennicy usunięcia religii ze szkoły zamiast więc iść na wojnę ze społeczeństwem, wojnę z góry przegraną, lepiej by zrobili, przykładając się do reformy sposobu organizacji katechezy w szkole. A zawiera ona istotne błędy, ograniczające autonomię państwa wobec Kościoła.

Przy obecnym stanie rzeczy dyrektor szkoły nie ma wiele do powiedzenia w kwestii tego, kto jest zatrudniony u niego jako katecheta, a Ministerstwo Edukacji nie jest kompetentne decydować o tym, czego się na lekcjach religii uczy. Właśnie ten fakt, że dyrektor dostaje pracownika od biskupa (za pośrednictwem proboszcza), jest naruszeniem autonomii państwa. Powstaje w szkole państwo w państwie, dwie podległości służbowe. Skoro katecheta jest nominowany przez biskupa, to wyłącznie od biskupa zależy jego „być albo nie być” w szkole. Dyrektor poza poważnymi przypadkami naruszeń dyscypliny nie może zwolnić nauczyciela religii. Nie ma więc żadnego wpływu na proces kształcenia. Taka regulacja generuje patologie. Nie może być bowiem tak, że w zakładzie pracy (a więc także w szkole) pracują ludzie niezatrudnieni tam na podstawie swobodnej decyzji dyrekcji. Ostatnio z takimi sytuacjami mieliśmy do czynienia w PRL, kiedy to odpowiedni komitet PZPR przysyłał odpowiednich towarzyszy, by mieli oko na sprawę, a dyrekcja mogła się z tego tylko cieszyć. Wpisywanie się Kościoła katolickiego w tę tradycję jedynie mu szkodzi. Kompromitacja jest nieuchronna.

\*\*\*

Przysłany z zewnątrz katecheta, najczęściej duchowny, jest ciałem obcym w ciele pedagogicznym. Choć relacje mogą się różnie układać, jest on w szkole jakby ponad prawem, bo cóż dyrektor szkoły może - „nie on mnie zatrudnił, nie on mnie zwolnił”. Autorytet dyrekcji słabnie, skoro nauczyciele widzą, że ta ma pracowników, których jej władza nie osiąga. Dyrektor może dać upomnienie, kiedy pojawia się problem. Musi jednak pamiętać, by nie drażnić proboszcza czy biskupa. Władze lokalne, kościelne i świeckie lubią się ze sobą kontaktować, stanowią przecież miejscową elitę. Naturalny jest taki rozwój nieformalnych stosunków, wzajemnego zapraszania się na uroczystości, wspólne kolacje itp. Dyrektor szkoły powinien więc mieć się na baczności i Kościoła nie drażnić. Bezradność narasta, autonomia instytucji staje się w tym wymiarze fikcyjna.

# Dość religijnego analfabetyzmu

## Walka o wyrzucenie religii ze szkół nie ma sensu. Należy dążyć do wprowadzenia edukacji o religiach w miejsce katechezy katolickiej wyjętej spod nadzoru państwa

TADEUSZ BARTOŚ



Taka rezygnacja państwa z uprawnień na rzecz partykularnej organizacji jest naruszeniem jego suwerenności. Ci, którzy do tego dopuścili, nadużyli swej pozycji, pozbawiając władze niezbywalnych kompetencji. Państwo bowiem zarządza szkołami w imieniu obywateli i nie ma uprawnień, by z tego rezygnować na rzecz jednej organizacji, czy to będzie wyznaczenie religijne, czy jakiegokolwiek inne (stowarzyszenie nauczycieli tenisa ziemnego także z chęcią przyjęłoby podobne uprawnienia do mianowania na etaty w każdej szkole swoich ludzi wedle uznania). Naruszona zostaje zasada sprawiedliwości. Wisi nad całym tym bałaganem kompetencyjnym zły demon konkordatowego paktu - uprzywilejowanie jednej organizacji, nadanie jej wyjątkowego

prawnego statusu. Nota bene to nie Kościół jest dobrem wspólnym, lecz państwo, interes ogółu nie jest tożsamy z interesem Kościoła, który jest jedną z wielu organizacji, mającą własne interesy (co naturalne), niekiedy sprzeczne z dobrem wspólnym (co też jest naturalne).

Potrzeba więc najpierw ochrony interesu całego społeczeństwa. Brak powściągliwości władz kościelnych, skupienie na własnych sprawach do załatwienia kompromitują Kościół, który w swej nauce podkreśla wagę dobra wspólnego. Nie odnosi tego jednak do siebie, sądząc prawdopodobnie, że dobro instytucji kościelnych jest dobrem wspólnym narodu. A to nieprawda. Powinni o tym pamiętać posłowie.

Sprawa dotyczy także procesu tworzenia programów lekcji religii. Powstają one w kurych biskupich, a nie w MEN. Taka abdykacja jest niedopuszczalna. Poczucie sprawiedliwości wymaga ustanowienia wyłączności władzy Ministerstwa Edukacji i jego agend w procesie przygotowania programów lekcji religii (odpowiednich podręczników) i merytorycznego nadzoru nad ich realizacją. Idzie bowiem o system powszechnej edukacji. Te kwestie formalno-kompetencyjne uzupełnione być muszą rozstrzygnięciami merytorycznymi. Skoro państwo ma dbać o interes obywateli w całości, a nie jednej czy kilku organizacji religijnych, potrzeba zdefiniować ten interes ogółu, owo wspólne dobro edukacyjne.

Podając pod refleksję następujące tezy: młodzieży potrzebne jest w ramach procesu kształcenia szkolnego zdobycie wiedzy na temat najważniejszych religii, katolickiej, prawosławnej, protestanckiej, islamu, judaizmu, buddyzmu, konfucjanizmu, religii Afryki itd. Idzie zarówno o wiedzę z zakresu historii, jak i teologii - logiki i sensu tych systemów religijnych. Tak, by możliwe było wniknięcie w wewnętrzny świat wyznawców rozmaitych wiar. To jest interes państwa - żeby młodzież w tych sprawach miała stosowną orientację. Od tego między innymi zależy poziom tolerancji religijnej w naszym kraju. Dlatego właśnie państwo musi nadzorować proces edukacyjny, a nie partykularna konfesja, która może siebie uważać za lepszą, prawdziwszą, inne uznawać za pograżone w błędzie czy złe. Kościół katolicki w Polsce daje wystarczająco dużo dowodów nietolerancji wobec inaczej myślących (duch Bada Maryja), by było oczywiste, że nie może zarządzać procesem edukacji szkolnej bez państwowego nadzoru.

Ponadto wiedza z zakresu religii to zagadnienie światopoglądowe, jest więc jak najbardziej pożądane, by przedmiot wiedzy o religii zawierał także elementy wiedzy filozoficznej. To kolejna potrzeba młodzieży, niezaspokojona w obecnym systemie edukacji. Pamiętać przy tym trzeba, że jednym z działań filozofii jest etyka, która w obecnym systemie edukacji zostaje kuriozalnie przeciwstawiona lekcjom religii. Albo etyka, albo religia - czego my uczymy naszą młodzież?

Wystarczy w naszym kraju sił intelektualnych, by przygotować ciekawy program tak zanyowanego przedmiotu światopoglądowego „Wiedza o religii i filozofii”. Byłby on uzupełnieniem innych przedmiotów humanistycznych. Naukowy opis religii korzysta z metod socjologii, antropologii kulturowej, psychologii - wszystkie te nowoczesne składniki

wiedzy mogą być przedstawiane uczniom na poziomie dostosowanym do ich wieku. Jest to ważne także dlatego, że naukowa wiedza o historii chrześcijaństwa, judaizmu czy islamu może różnić się od nastawionych apologetycznie nauk tych religii o własnej historii. Szkoła ma dostarczać wiedzy, a nie ideologicznych, nieuzasadnionych naukowo interpretacji. To realny konflikt, dotyczący wszystkich wielkich religii, i nie należy przed nim chować głowy w piasek. Abdykacja państwa jest niedopuszczalna. Musi ono stawać po stronie rzetelnej wiedzy naukowej.

Staranne przygotowanie programu, dobranie nauczycieli, których nie powinno zabraknąć (absolwenci religioznawstwa, filozofii, teologii, socjologii, antropologii kulturowej), sprawiłoby, że w ciągu jednego pokolenia mógłby się dokonać w naszym kraju skok mentalnościowy o znaczeniu cywilizacyjnym. Idzie o wykształcenie u młodzieży humanistycznego horyzontu pojmowania świata, który przekracza dotychczasowe granice naszego ciasnego myślowego zaułka. Tej właśnie rzetelnej wiedzy o odmiennościach kulturowych, religijnych, myślowych - najbardziej brakuje w naszym kraju. Na razie naród jest w dużej mierze analfabeta, gdy chodzi o znajomość innych religii, systemów filozoficznych (światopoglądowych), o umiejętność socjologicznego, psychologicznego, antropologicznego spojrzenia na rzeczywistość społeczną.

\*\*\*

Katecheza szkolna w obecnej postaci jest nieskuteczna, przysyłani przez biskupów księża, choć mogą mieć powołanie kapłańskie, niekoniecznie muszą mieć równocześnie pedagogiczne. Lekcje religii są w hierarchii szkolnych przedmiotów na samym dole. Uczniowie szanują je mniej aniżeli WF. W związku z tym robią na zajęciach wszystko, co im się podoba. Rozmawiają, biegają po klasie, odrabiają lekcje. Nauczyciel nie ma możliwości dyscyplinujących, bo nie jest to de facto przedmiot, z którego można być zagrożonym. Religia w szkole nie dysponuje programem przekazywania i egzekwowania konkretnej, wymagającej odpowiedniego wysiłku w opanowaniu wiedzy. Wedle wskazań biskupich, nastawionych fideistycznie i antyintelektualnie, na religii wiedza jest mniej istotna, najważniejsza jest tzw. ewangelizacja. Pomysł całkowicie chybiony, nie bardzo wiadomo, czym miałyby być owa ewangelizacja. Sentymentalizm, nabożny ton katechety, kaznodziejskie zacięcie w murach szkoły nierzadko budzą śmiech, a niekiedy także przerażenie. Nie ten klimat, nie

ta publiczność. Lekcje religii są dla katechetów krzyżem pańskim, sam obserwowałem z bliska to zjawisko. Potrzeba więc zmiany. Przejęcie kontroli przez państwo nad szkolną edukacją religijną, ograniczoną do przekazywania rzetelnej i pogłębionej wiedzy, skłoniłoby Kościoły do podjęcia we własnym zakresie uzupełniającego przygotowania dzieci i młodzieży do sakramentów, Pierwszej Komunii Świętej, bierzmowania itp. W budynkach kościelnych, wedle własnego uznania. To jest właściwe miejsce rzeczywistej religijnej inicjacji, wejścia w przestrzeń modlitwy, adoracji, niezbędnej zmiany nastroju, by dokonywało się wniknięcie w ducha religijnych tajemnic.

Katecheza w kościele siłą rzeczy dotyczyć będzie chętnych, co ma znaczenie fundamentalne. Trzeba bowiem pragnąć przyprowadzić dziecko do kościoła albo przyjść samemu na zajęcia religii, by rozpoczął się proces inicjacji. Na początku musi być osobisty wybór, decyzja, a nie dzwonek szkolny i wkraczający do klasy ksiądz czy zakonnik.

\*\*\*

Dziś na scenie politycznej jedynie Ruch Palikota ma siłę i wolę podnoszenia kwestii rozdziału Kościoła od państwa; inni mogą się przyłączyć. Stąd mój apel do niego, by nie iść na wojnę totalną, a taką jest hasło usunięcia religii ze szkół. Ta wojna musi skończyć się klęską, a jeśli zostanie kiedyś wygrana, gdy siły laickie zdobędą większość w parlamencie, będzie to pyrrusowe zwycięstwo. Ceną do zapłacenia będą bowiem głęboki podział społeczny, podtrzymanie wrogości, eliminacja słabszego. To jest wada zapateryzmu: konflikt cywilizacyjny, walka z ludźmi zamiast porządkowania spraw, przywrócenia autonomii i nadrzędności państwa wobec poszczególnych konfesji.

Sensu nie ma walka o wyrzucenie religii ze szkoły, ale o przywrócenie konstytucyjnego ładu w organizacji edukacji szkolnej - dla dobra obywateli. Naczelną wartością powinien być ów wspomniany interes uczniów - analiza ich potrzeb, analiza tego, jaka edukacja poszerzałaby ich horyzont rozumienia kwestii światopoglądowych, podnosząc przez to jakość życia społecznego (tolerancja, zrozumienie odrębności). Cel dalekosiężny powinien przyswieszczać wszelkim reformom, a nie prosta reakcja.

Tadeusz Bartoś jest filozofem, profesorem Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztor w Pułtusku. Opublikował m.in. „Ścieżki wolności”, „Wolność, równość, katolicyzm”, „Jan Paweł II. Analiza krytyczna”, „W poszukiwaniu mistrzów życia”, „Koniec prawdy absolutnej”. Prowadzi blog „Z punktu widzenia” - [www.tadeuszbartos.blog.onet.pl](http://www.tadeuszbartos.blog.onet.pl)

JOANNA ERBEL

**B**urmistrz warszawskiego Śródmieścia Wojciech Bartelski wstawił się niedawno niechęcią do barów mlecznych. Powołując się na europejskie aspiracje warszawiaków, rysował wizję elitarnego centrum stolicy: „Realny wybór jest taki, że albo będzie tanio i prząśnie, albo nieco drożej, ale nowocześnie”. Jego troska o estetykę nie przekonała jednak mieszkańców protestujących przeciwko zamykaniu tanich jadłodajni. Oburzenie było tym większe, że bary mleczne działające od kilkudziesięciu lat w jednym miejscu nie tylko wspierają osoby starsze i mniej zamożne, ale są też częścią spuścizny kulturowej sto-

muszą się więc wyprowadzić, a lokale użytkowe działające dotąd na potrzeby lokatorów wynajmowane są bankom. Proces może zastrzymać tylko ustawowa regulacja czynszów – tak dzieje się w Europie Zachodniej, w Polsce wciąż na nią czekamy. Tymczasem ludzie sami próbują bronić swoich praw, jak w przypadku przejścia Baru Prasowego w Warszawie. Grupa mieszkańców postanowiła ponownie otworzyć zamkniętą miesiąc wcześniej jadłodajnię. W grudniowy poniedziałek w lokalu pojawiło się 400 osób, wydano 250 posiłków. Prasowy miał zostać otwarty przez tydzień, jednak już pierwszego dnia w barze pojawił się oddział prewencji, który przy okrzykach: „Pierogi! Raz! Dwa! Trzy!” zaaresztował trzy stoły.

Warszawa była miastem ludzi głodnych, bezdomnych, nędzarzy. Ludzie w Warszawie się bogacą. Zapomina się o tym, że solą ziemi jest ta milcząca większość, ci, którzy normalnie pracują, bogacą się, a od samorządu nie oczekują, żeby im »dawać«, lecz zapewnić za ich słone podatki dobrą infrastrukturę i wysoką jakość usług miejskich”. Uboższym mieszkańcom swojego miasta burmistrz zaproponował udzielenie do ręki, bo – jak podkreśla – „Nie jest też prawdą, że nie można zjeść w Warszawie po przystępnej cenie, bo nawet można kupić zwykły kebab za 8 zł i najeść się do syta”. Nie ma znaczenia to, że nie każdy lubi jeść, spacerując, że nie jest to oferta dla wegetarian ani dla dzieci, że bary mleczne są także miejscem

## Buta burmistrza bogatych

Wojciech Bartelski, niczym Maria Antonina, radzi uboższym mieszkańcom warszawskiego Śródmieścia walczącym o bary mleczne, by jedli kebaby



Jednociepła akcja wskrzeszenia baru mlecznego w Warszawie, grudzień 2011

licy i miejscem spotkań ludzi z różnych grup społecznych. Krytyki nie szczędził mu nawet związany z Platformą Obywatelską (której członkiem jest Bartelski) Instytut Obywatelski. Tymczasem Bartelski pozwolił sobie nawet na wynurzenie, że „nie posiada wrażliwości społecznej, ale ponieważ wszyscy dookoła są jej pełni, to mała strata”.

Dbanie o mieszkańców o różnym statusie i aspiracjach jest szczególnie istotne. Centra większości polskich miast mają zróżnicowany skład społeczny m.in. dlatego, że wywłaszczone po wojnie kamienice należą do zasobów komunalnych. Na parterach są drogie sklepy, na górze mieszkają ubodzy lokatorzy. Od paru lat obserwujemy jednak postępującą gentryfikację tych dzielnic. Mechanizm jest prosty – po remoncie kamienic podnosi się nie tylko ich wartość, ale i czynsz, ubożsi mieszkańcy

Kilka dni później uformowała się grupa obrońców baru, powstała strona Prasowy.waw.pl i petycja do prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz przeciwko przekształcaniu Śródmieścia w elitarną dzielnicę. Udało się także uzyskać poparcie radnych dzielnicy. Wspólnie wypracowano reguły przetargu na lokal po Prasowym. Ustalono, że będzie to bar mleczny, a oceny ofert dokona komisja złożona z radnych, rad osiedli oraz mieszkańców. Wydawało się, że udało się uruchomić procedurę włączającą obywateli do procesu decydowania.

Entuzjazm przerwała kolejna wypowiedź burmistrza Bartelskiego. Najpierw podważył ustalenia komisji w sposób świadczący o tym, że nie zna ich szczegółów, a potem stwierdził, że nie tylko w Śródmieściu, ale wręcz w całej Warszawie nie ma biedy: „Irytują mnie ci, którzy uporczywie próbują wbić nam do głowy, jakoby

spotkań. Nie mówiąc już o tym, że dla najuboższych 8 zł to też spory wydatek.

Ignorowanie biedy to nie tylko przejaw arogancji, ale też braku kompetencji. W 2005 r. (a więc przed kryzysem) z zasiłków pomocy społecznej w Śródmieściu korzystało ponad 15 tys. osób – to najwyższy wskaźnik w Warszawie. W mikroprogramie rewitalizacji dzielnicy Śródmieście zaakceptowanym przez władze miasta walka z ubóstwem jest jednym z kluczowych wyzwań. Reakcją na ostatnie wołania burmistrza. Trwa zbieranie podpisów pod petycją skierowaną do rady dzielnicy i prezydent Warszawy.

Joanna Erbel jest socjolożką, feministką fotografką, aktywistką miejską. To członkini zespołu Krytyki Politycznej, współzałożycielka Stowarzyszenia Duopolis.

# Batory, kostka i płyn na porost włosów

Krzyże lubię i popieram, więc wprawił mnie w szczerze zdumienie tylko jeden – węgierski. Węgrów zresztą też lubię i popieram – od dziecka

HUBERT KLIMKO-DOBRZANIECKI

**D**zień 23 marca jest Dniem Przyjaźni Polsko-Węgierskiej. Deklarację w tej sprawie parlament węgierski poparł głosami 324 posłów. Nikt się nie wstrzymał. Nikt nie był przeciw. Analogiczną uchwałę podjął przez aklamację Sejm RP. Ta jednogłośnieść obu izb była tak piękna, że aż chce się przerobić znane wszystkim powiedzenie: „Węgier, Polak dwa bratanki i do konia, i do szklanki. Oba zuchy, oba zwawi, niech im Pan Bóg błogosławi” na: „Węgier, Polak dwa bratanki i do ustaw, i do szklanki. Oba w depresji, oba niezawwi, niechaj sejmowy krzyż im błogosławi”. Słyszałem, że w parlamencie węgierskim też wisiał. Nie słyszałem, w jakich okolicznościach i jak go zawiesili. Mówiąc szczerze, tylko jeden wiszący krzyż wzbudził we mnie emocje – krzyż z restauracji McDonald przy autostradzie z Wiednia do Budapesztu. Nie że ja krzyży nie lubię i nie popieram. Wręcz odwrotnie. Krzyże lubię i popieram. Nieskromnie muszę się przyznać, że leżenie krzyżem w towarzystwie bardzo mnie kręci. Ale ten powieszony nad śmietnikiem w obecności dozowników do musztardy i keczupu jakoś mnie poruszył. Widać Węgrzy inaczej się na krzyż zapatrują niż Polacy, ale braćmi są, bo udzielili schronienia konfederatom barskim i chyba stąd się wzięło to przysłowie z czasem bardziej znane w krótszej wersji. Lengyel, Magyar ket jo barat, egyut harcol, issza borat! Polak, Węgier, dwa bratanki, i do szabli, i do szklanki!

Chciałem się zastanowić nad własnym stosunkiem do Węgrów. Nie nad tą miłością ustawową, przysłowiową, historyczną. Właśnie, czy ja mam w sobie miłość do Węgrów? Czy czuję w nich

bratanków? Czy mnie coś z nimi łączy? Coś intymnego? Niesamowitego? Ano tak! Węgrzy całymi latami przodowali w statystykach samobójstw, cmentarz jawi się wręcz idealnym miejscem naszego spotkania. A ponieważ są tylko dwie sprawdzone metody wychowawcze, które choć kontrowersyjne, dają efekty, czyli zastraszanie albo przekupstwo, moja mama z lichą pensją musiała wybrać opcję tańszą. W podziemiach wawelskiej katedry zatrzymawszy się przy krypcie z dziecięcymi trumienkami, powiedziała: „Widzisz synku, one nawet nie zdążyły się nauczyć, a teraz nie żyją. Ty się możesz uczyć, a nie chcesz...”. W tym momencie usłyszeliśmy głośno śpiewy i ruszyliśmy w ich stronę. Utwór prezentowany był w niezrozumiałym języku, lecz gdy spojrzałem na tabliczkę z danymi denata, okazało się, że śpiewają

nad sarkofagiem Stefana Batorego. Pomyślałem sobie, że ci Węgrzy to ciekawy naród.

Pieśń nad trumną była w moim odczuciu wesoła i skoczna. Kilka miesięcy po spotkaniu wawelskim na moim osiedlu pojawili się koleś z kostkami w rękach. Wkrótce nie tylko moje miasteczko, województwo, kraj, co ja mówię, cała Europa oszalała na punkcie büvös kocka, magicznej kostki, u nas zwanej kostką Rubika. Pokochałem tę zabawę jeszcze bardziej, gdy się dowiedziałem, że twórca jej, Ernő Rubik, mógł być wśród śpiewaków z wawelskiej krypty.

Na koniec bardzo ważna rzecz. Obecnie jestem łysy, ale kiedyś byłem kędzierzawym brunetem. Mam na to dowody w postaci zeznań żyjących jeszcze przyjaciół oraz czarno-białych zdjęć. Na przełomie lat 70. i 80. wydarzył się cud, a cud przyszedł podobnie jak Batory i kostka z Węgier! Pewien farmaceuta czy szarlatan wymyślił płyn na porost włosów. Ponoć tysiące węgierskich łysych pod wpływem owej mikstury odzyskiwało pióra. Pomyślałem, że dzięki wynalazkowi nie tylko uczynię rzeszę łysych rzeszą owłosionych przystojniaczków, ale i zarobię. Stanę się bogaty, otworzę licencjonowaną fakturę kostek Rubika i na koniec nauczę się węgierskiego. Zapłaciłszy z mamą za orbisowską wycieczkę do miasta Győr, a kiedy się tam znaleźliśmy, wykupiliśmy wszystkie hajszesze w mieście. Jednak po powrocie okazało się, że śmiałek z Wrocławia nas wyprzedził, rozprowadzając masę płynu wśród śląskich łysych z takim efektem, że musiał potem uciekać na Mazowsze. Matka w piwnicy jeszcze ciągle ma kilkadziesiąt butelek.

Nie wiem, jak państwo mają zamiar spędzić dzień 23 marca, ale ja wyjmę z kartonu kostkę Rubika, odkurzę ją moją peruką, a potem wypiję nagi jak Imre butelkę tokaja.



Delegacja węgierska w Poznaniu celebrowała Dzień Przyjaźni

Marek Zakrzewski/PAP





Plakaty z podobizną Putina i hasłem: „Kolejne 12 lat? Nie, dziękuję!”



Zwolennik Putina na wiecu zorganizowanym przez władze Sankt Petersburga

# Rosja na pozór



Demonstracja organizacji Inna Rosja przed Centralną Komisją Wyborczą w Moskwie, 21 lutego

LUKASZ WÓJCIK

W yobrażnia jest wszystkim” – pisze przed zbliżającymi się wyborami prezydenckimi w Rosji Nina L. Chruszczewa. Autorka bestselleru „Imagining Nabokov: Fussia Between Art and Politics” („Wyobrażanie Nabokova: Rosja między sztuką i polityką”) twierdzi, że to zdanie, które jest dziś kwintesencją putinizmu, bardziej nadaje się do reklamy firmy odzieżowej niż na strategię państwa. „W Rosji bycie postrzeganym mocarzem jest wciąż ważniejsze od bycia mocarzem” – przekonuje. „Od ponad dekady Rosja żyje iluzją potęgi. Obecnej władzy nie chodzi o modernizację kraju, o konkurowanie z mocarstwami tego świata, tylko o to, żeby Rosjanom się wydawało, że się modernizujemy, że konkurujemy ze światem”.

Co sprawiło, że hasło reklamowe od 2000 r. skutecznie zastępowało w Rosji narodową stra-

niż przed upadkiem ZSRR, często pamięta jeszcze czasy towarzysza Breżniewa. Co jednak najważniejsze – odkąd w 2000 r. władzę przejął Władimir Putin, również wolne wybory w Rosji są fikcją. Rosjanie to jednak doskonale wiedzą, co więcej – jeszcze do niedawna im to nie przeszkadzało. Lud suweren świadomie przyjął iluzję.

## Podrobiona legitymacja

W ostatnim magazynie „Eurozine” ten fenomen starają się wytłumaczyć Stephen Holmes, politolog z Uniwersytetu Nowojorskiego, oraz znany bułgarski publicysta i filozof Iwan Krastew. Według nich najważniejsza dla zrozumienia tej sytuacji jest odpowiedź na pytanie: Po co rosyjska władza, która nigdy nie miała demokratycznych ambicji, wciąż organizuje wybory? W przypadku wielu autokratycznych reżimów odpowiedź byłaby banalnie prosta. Najgorsi kacykowie od czasu do czasu po-

W tym sensie wybory w Rosji stały się dla Władimira Putina okazją do demonstracji siły, do pokazania, jakim potężnym jest władca, jak doskonale potrafi kreować i przedstawiać na scenie politycznej nowe partie. Jak potrafi stwarzać swoich konkurentów tylko po to, aby ich później publicznie miażdżyć. Dlatego głos oddany na jedną z partii reglamentowanej opozycji jest w Rosji głosem oddanym na system stworzony przez Putina. Głosem uznania dla władcy. Potwierdzeniem jego władzy, a nie jej delegowaniem, czyli odwrotnie niż w zachodnich demokracjach.

## Ważne, kto liczy głosy

Ostatnie, grudniowe wybory parlamentarne i antyrządowe demonstracje, które po nich nastąpiły, ujawniły jednak największy sekret Kremla – w dzisiejszej Rosji nie tylko wybory, ale i władza Putina są iluzją. Pisze o tym Nina Chruszczewa: „Fałszowanie wyborów

Niedzielne wybory prezydenckie będą prawdopodobnie ostatnimi dla Władimira Putina. Bo w Rosji władza przestaje udawać, że rządzi, a społeczeństwo przestaje udawać, że władzę popiera

tegi? Gdy pod koniec XVIII w. Grigorij Potiomkin zabierał z Sankt Petersburga swoją ekskochankę Katarzynę Wielką na inspekcję Krymu odebranego właśnie Turkom, caryca miała zobaczyć bogaty kraj szczęśliwych ludzi. I zobaczyła, chociaż mieszkańcy półwyspu musieli wtykać w ziemię wokół domów ścięte kwiaty, a stodoły zagracać workami, w których zamiast pszenicy był piasek. Do historii przeszły podpierane belami elewacje zabudowań – Potiomkin kazał je ustawić wzdłuż Dniepru, którym płynęła caryca. Ale przez wieki zagubił się najważniejszy element tej historii – Katarzyna Wielka doskonale wiedziała, że to wszystko kłamstwo. I świadomie je zaakceptowała. „W Rosji nie wystarczy stworzyć iluzji” – napisał jeden z najważniejszych dystrydentów z czasów ZSRR Władimir Bukowski w eseju, który znalazł się w zbiorze „Parazyt prawdy”. „Suweren musi tę iluzję jeszcze świadomie przyjąć”.

Mimo że Kreml głośno chwali się sukcesami ekonomicznymi, dziś rosyjska gospodarka jest w rozkładzie. Podobnie jak w przypadku wielu państw Trzeciego Świata ponad 80 proc. dochodów budżetu pochodzi z eksportu surowców naturalnych. Infrastruktura, która dziś pozwala Rosjanom wydobywać mniej ropy

trzebują demokratycznej legitymacji, mimo że jest ona podrabiana. Nawet fałszywy demokratyczny glejt jest w ich mniemaniu przepustką do świata cywilizowanych narodów.

W Rosji ta zasada nie obowiązuje. W tamtejszych wyborach nie chodzi tylko o to, aby je sfałszować, ale żeby to zrobić z pozycji siły. Partie, kandydaci, programy – wszystko musi podlegać pełnej kontroli. Rosyjskim władcom nie jest potrzebna demokratyczna legitymacja. Wręcz przeciwnie, byłaby ona oznaką słabości, tak jak za czasów Borysa Jelcyna. W Rosji wybory są po to, aby je sfałszować, i w ten sposób udowodnić swoją potęgę. Udział w nich jest więc wyrazem szacunku dla tej potęgi.

Holmes i Krastew, z zachowaniem proporcji, porównują Putina do Józefa Stalina. Dla niego przestrzenią projekcji swojej mocy były czystki partyjne i procesy polityczne w latach 30. XX w. Upubliczniając ich przebieg, Staliniowi nie chodziło wcale o uzyskanie społecznej sympatii wobec lidera otoczonego przez zdrajców, ale właśnie o demonstrację siły, polegającej na bezbłędnym „antycypowaniu” wyroków. Im bardziej ktoś był niewinny, tym dobitniej jego przyznanie się do wszystkiego świadczyło o potędze tej władzy i budziło szacunek wśród Rosjan.

to najprostszy i najtańszy sposób imitowania potęgi, której tak naprawdę Kreml nie posiada”. Efekty tego zabiegu są nieproporcjonalnie duże w stosunku do nakładów, bo wystarczy, że Putin kontroluje kilkaset osób z centralnej administracji. Jak mówił towarzysz Stalin: „Nieważne, kto głosuje. Ważne, kto liczy głosy”.

Chruszczewa przekonuje, że największym sukcesem Putina jest fakt, że tak długo ukrywał słabość – swoją własną i kraju, którym rządzi. Do tej opinii przychyliła się również Edward Lucas, redaktor tygodnika „The Economist”, znany w Polsce dzięki książce „Nowa zimna wojna”. Realna władza Putina nie sięga zbyt daleko poza Moskwę. Rosyjski lider jest na tyle silny, aby eliminować politycznych konkurentów, ale jednocześnie na tyle słaby, że nie jest w stanie narzucać swojej woli całemu państwu. Według Lucasa jest on zakładnikiem regionalnych rosyjskich elit – zapewnia im bezkarność i nieograniczony dostęp do bogactw naturalnych, a one akceptują, albo przynajmniej dotychczas akceptowały, pozory jego władzy. Putin nigdy nie był mocny, ale zgodnie z rosyjską zasadą tworzył system, w którym wyglądał na mocnego.

Jak bardzo jest słaby, okazało się po grudniowych wyborach. Aby zniszczyć zwykłą →

→ wioskę, trzeba ją zbombardować. Aby zniszczyć fałsz wioski potiomkinowskiej, wystarczy zmienić perspektywę. A Rosjanie właśnie to robią – ktoś w końcu krzyknął: „Król jest nagi”. Najpierw tydzień przed wyborami Putin został wybuchany podczas gali sportów walki w moskiewskim kompleksie sportowym Olimpijski, a już po wyborach w trzech demonstracjach 10 i 24 grudnia oraz 4 lutego na stołeczny prospekt Sacharowa i na plac Błotny wyszło prawie 100 tys. Rosjan. To były największe demonstracje na ulicach Moskwy od upadku ZSRR.

Jak piszą Holmes i Krastew: „Te protesty zachwiały władzę nie dlatego, że wskazały na fałszerstwa wyborcze, ale dlatego, że pokazały słabość władzy”, która nawet nie potrafi porządnie sfalszować wyborów. Bo nie chodzi tylko

o odpowiednie liczenie głosów czy dopuszczanie do kandydowania tylko wybranych polityków. Liczy się show, a tym razem Kreml zapomniał o dwóch kluczowych elementach każdego przedstawienia: o emocjach i otwartym zakończeniu. Szczególnie w tej pierwszej sprawie Putin poległ na całej linii.

Gdy w 2000 r. przejmował władzę, emocje dostarczyli Czeczeni, wyimaginowani czy realni. Jak w klasycznym westernie – byli bandyci, przyszedł dobry szeryf i się z nimi rozprawił. W 2004 r. emocje dotyczyły oligarchów, którzy rozkradali kraj. Znowu trzeba było szeryfa, który ich wyłapie oraz przykładowo ukarze, tak jak Michaiła Chodorkowskiego, i zwróci majątek narodowi. W 2008 r. system Putina przetrwał dzięki obietnicy wielkich reform i liberalizacji, czego uosobieniem miał być młody prezydent Dmitrij Miedwiediew. Pojawiła się nawet zawołana sugestia, że to początek zmiany pokoleniowej, co już rozgrzało emocje do białości.

### Koniec przedstawienia

Wokół wyborów, które odbędą się w najbliższą niedzielę, nie ma już żadnych emocji, żadnej ciekawej fabuły. Czeczeni,

w magiczny sposób ucywilizowani i wychowani przez swojego prezydenta z moskiewskiego nadania Ramzana Kadyrowa, już niemal en masse głosują na Putina (w poprzednich wyborach 99 proc. poparcia). Oligarchowie jeszcze się trzymają, choć w większości



24 grudnia na prospekcie Sacharowa doszło do największej antyrządowej demonstracji w Rosji od 1991 r. Według organizatorów na centralną ulicę Moskwy wyszło tego dnia 40 tys. osób

są to już dziś swoi oligarchowie, znajomi Putina z Sankt Petersburga, którzy swoimi miliardami wspierają kraj. W końcu, po czterech latach prezydentury Miedwiediewa, który – jak się okazało – tylko zagrzebał fotel swojemu mocodawcy, emocji nie wzbudzą też kolejne obietnicowe reformy, a wszyscy, którzy w 2008 r. w nie wierzyli, mogą czuć się upokorzeni.

Putin nie zadbał również o otwarte zakończenie tego przedstawienia. Już we wrześniu 2011 r. zapowiedział, że Dmitrij Miedwiediew nie będzie ubiegał się o kolejną kadencję i że ma jego poparcie w staraniach o ponowną prezydenturę. – Ten determinizm, poczucie bezalternatywności to było za dużo nawet dla Rosjan – przekonuje Michael Bohm, szef działu opinii dziennika „The Moscow Times”. – Dziś już nie wystarczy, że mają do wyboru komunistę Ziuganowa, nacjonalistę Żyrinowskiego czy koncesjonowanego liberała Michaiła Prochorowa, bo to tylko wydmuszki. Niepewność, która otaczała przez ostatnie lata sprawę rosyjskiej sukcesji, była jak aparat tlenowy dla tego systemu. A Putin mógł dalej podgrzewać emocje, udawać, że ten system nie opiera się tylko na nim.

To się jednak właśnie skończyło. O ile nikt dziś w Rosji nie ma wątpliwości, że wygra niezależne wybory, to pojawia się coraz więcej głosów, że nie dotrwa do końca sześciolatniej kadencji. Jak tłumaczy Bohm, aby się utrzymać przy władzy, Putin musiałby natychmiast

wypowiedzieć wojnę korupcji, która z jednej strony sparaliżowała funkcjonowanie podstawowych instytucji rosyjskiego państwa, a z drugiej jest fundamentem istnienia tego reżimu. Z kolei aby odzyskać polityczną legitymację, Putin musiałby pozwolić na polityczne reformy i przy najmniej częściowo wolne wybory. Ale pierwsze, częściowo wolne wybory parlamentarne w Związku Radzieckim z 1989 r. okazały się ostatnimi wyborami dla starego reżimu, który dwa lata później upadł.

„Rosja jest w ślepym zaułku historii” – tłumaczył niedawno tygodnikowi „Ogoniok” Igor Kliamkin, jeden z najbardziej szanowanych obecnie w Rosji filozofów. „Zbliżamy się do przełomu na skalę milenijną. Rosyjska władza zawsze opierała się na iluzji mocy. Przed 1917 r. tę iluzję uwiarygadniała Cerkiew prawosławna. Później rolę religii przejęła komunistyczna ideologia. Od 1991 r. system siłą rozpędu opiera się jeszcze na starych sowieckich zwyczajeniach. To właśnie one kazały Rosjanom akceptować oszustwa, którymi karmiła ich władza przez ostatnią dekadę”.

W Rosji taka iluzja przez lata odpowiadała obu stronom. Putin mógł udawać, że rządzi, a Rosjanie, że go słuchają i popierają. Rezygnacja z tej niepisanej umowy społecznej skończy się dla niego tylko utratą władzy. Dla Rosjan może oznaczać zawalenie się całego systemu politycznego, od samego szczytu do jej najniższych poziomów.

Z taką obawą w tyle głowy, pełni rozterek, a nawet estetycznego obrzydzenia jeszcze raz uwierzą w tę iluzję i pójdą w niedzielę zagłosować na Władimira Putina. Ale to będą ostatnie takie wybory w Rosji. Starzy iluzjonści rzadko uczą się nowych tricków.

# I tak nikt nie sprawdzi



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu jest socjologiem

Jak długo jeszcze Donald Tusk i jego ekipa nie będą zauważać tego, że Polska po ACTA jest już inna? Spadek poparcia w sondażach to małe piwo. Protesty stały się katalizatorem zmiany, która tak czy owak wisiała w powietrzu. Większym problemem będzie odzyskanie podstawowej wiarygodności w oczach ludzi. Przez kilka tygodni byliśmy przecież świadkami osobliwego festiwalu. Premier i ministrowie nie tylko wysyłali jednocześnie sprzeczne komunikaty, ale zmieniali zdanie co kilka dni i podawali informację w oczywisty sposób nieprawdziwe. Czy ten, czy inny przedstawiciel rządu będzie mógł teraz liczyć na podstawowe zaufanie ze strony słuchaczy? Wątpię.

Kilka niedawnych wydarzeń tę wątpliwość pogłębia. Choćby kuriozalna sytuacja w Ministerstwie Zdrowia, którego rzeczniczka na pytania o ustawę refundacyjną odpowiadała dziennikarzowi milczeniem lub słowami: „Nie rozumiem pytania”. Kiedy rząd przeprowadzał tę ustawę w zeszłym roku, byłem skłonny wziąć za dobrą monetę zapewnienia o tym, że chodzi o interesy pacjentów. Inne ustawy z pakietu zdrowotnego wydawały mi się bardziej podejrzane. Przepraszam czytelników za naiwność. Dziś, gdy widać już skalę katastrofy, ministerstwo też powinno kogoś przeprosić.

Równie ciekawe są rewelacje dziennika „Metro” na temat metod rzecznika MEN: poka-

zywanie do kamery zdjęcia córeczki, aby uniknąć trudnych pytań, upuszczenie długopisu, żeby w tym czasie znaleźć wymijającą odpowiedź, albo pokazywanie statystyki, której „i tak nikt nie sprawdzi”. Sprytne? Pewnie tak, ale ludzie mogą się w końcu zdenerwować.

Skoro już mowa o sprawdzaniu statystyk, przeczytałem niedawno wywiad z ministrem pracy. Minister uspokaja, że podniesienie wieku emerytalnego nie spowoduje wzrostu bezrobocia wśród młodych, bo „raport OECD pokazuje, że im więcej osób starszych pracuje, tym więcej młodych ma pracę”. To prawda, istnieje taka korelacja. Szkopuł w tym, że korelacja nie dowodzi związku przyczynowego (szary obywatel może tego nie odróżniać, ale minister powinien). I w tym, że samo podniesienie wieku emerytalnego nie sprawia automatycznie, iż więcej osób starszych będzie miało miejsca pracy. I jeszcze w tym, że w ciągu ostatnich czterech lat, gdy wskaźnik zatrudnienia starszych pracowników wzrastał, ten sam wskaźnik dla grupy 25–34 lat systematycznie spadał... W epoce Internetu minister nie może zakładać, że „i tak nikt nie sprawdzi”. Kwartalną informację o rynku pracy można znaleźć bez problemu na stronach GUS.

Na obronę ministra można powiedzieć, że ministerstwo zapowiedziało właśnie program aktywizacji zawodowej ludzi młodych. Bony szkoleniowe, stażowe, dotacje do wynajmu mieszkania plus doradztwo zawodowe. Czy to znaczy, że będzie lepiej? W sierpniu ub.r. ministerstwo ogłosiło informację o skuteczności takich programów. Wynosi ona 50 proc., co znaczy, że tylko co drugi bezrobotny znajduje zatrudnienie dzięki stażowi bądź szkoleniu – i to niezależnie zarówno od sytuacji gospodarczej, jak i od tego, ile pieniędzy się na to przeznaczą. Jednak zamiast zastanowić się, dlaczego wydatki na aktywizację zawodową okazują się workiem bez dna, resort proponuje w gruncie rzeczy więcej tego samego...

Chciałbym być dzisiaj miły, więc podpowiem: praca dla młodych (i nie tylko!) jest.

Jest mnóstwo pracy, tyle że zapotrzebowanie na nią nie przekłada się dziś na podaż miejsc pracy. Dlaczego? Bo impet idzie w zlecenia, „dzieła” i bezpłatne staże. Po co płacić więcej za coś, za co można zapłacić mniej, a nawet nie płacić w ogóle? To sympatyczne, że rząd chce nagradzać przedsiębiorców za tworzenie miejsc pracy, tyle że niewiele to zmienia, dopóki będzie ich jeszcze wyżej nagradzać za ich nietworzenie... Fakt, że umowa o pracę na czas określony jest dla pracodawcy dużo wygodniejsza niż na czas nieokreślony. Bez usunięcia tych zachęt do nietworzenia miejsc pracy trudno liczyć na zmianę.

Reformy, które trzeba wprowadzić, są w istocie dość proste. Po pierwsze trzeba zrównać uprawnienia pracowników zatrudnionych na czas określony i nieokreślony. Po drugie składki od umów pozakodeksowych powinny być wyższe niż od umowy o pracę. To sprawiedliwe, bo przedsiębiorca korzystający z umów pozakodeksowych ponosi dużo mniejsze ryzyko niż w przypadku umowy o pracę, więc wyższe składki zapewniają uczciwą konkurencję. Po trzecie trzeba się zająć tymi, którzy zarabiają tyle, ile jest warte słowo ministra, czyli osobami na nieopłacanych stażach. Należy zabronić przyjmowania na nieodpłatne staże i zobowiązać do podpisywania ze stażystami umów. Chodzi przede wszystkim o gwarancję, że stażysta czy stażystka będzie faktycznie rozwijać swoje kompetencje, a nie tylko robić herbatę czy kserować dokumenty.

Chciałbym być jeszcze miłszy, więc na koniec powiem, że jest w tym rządzie jeden minister, któremu wierzę. Jacek Rostowski oświadczył niedawno, że w podniesieniu wieku emerytalnego chodzi o to, żeby „oczekiwana przeciętna długość życia nie była bardzo długa”. Minister oczywiście się przejęczył, sugerując, że zależy mu na tym, żeby ludzie krócej żyli. Na pewno miał na myśli coś innego. Cóż z tego, takie już mamy czasy, że słowo ministra można wierzyć tylko wtedy, kiedy się przejęczy.

# Prawdziwa cena twojego telefonu



Chińscy studenci udają pracowników Foxconnu zatrutych chemikaliami podczas wytwarzania urządzeń Apple (protest w Hongkongu 7 maja 2011 r.)

Oskarżając Apple o dążenie do zysku po trupach, „New York Times” zainicjował dyskusję, na ile winni krzywdy robotników w Azji jesteśmy my wszyscy. Ta afera może przeorać naszą świadomość i zmienić reguły gry, tak jak publikacje o pestycydach wpłynęły na rolnictwo

OLAF SZEWCZYK

**P**o uderzającym w firmę z jabłkiem w logo artykule „NYT” ćwierć miliona oburzonych internautów podpisało petycję, domagając się od Apple radykalnej zmiany losu chińskich robotników, pracujących w fabrykach wytwarzających iPhone’y. Jednego dnia, o godzinie 10 czasu lokalnego, wręczono ją przedstawicielom najbardziej dochodowej firmy świata w Londynie, Waszyngtonie, Nowym Jorku, San Francisco, Sydney i Bangalore. Kierownictwo Apple początkowo stosowało tę samą strategię co zawsze: trochę zaprzeczeń, trochę udawanego zaskoczenia, na koniec solenne zapewnienie, że jeśli jakieś zarzuty są prawdziwe,

to oczywiście wszelkie błędy i wypaczenia zostaną naprawione. Tym razem jednak zakłucie nie zadziałało, skandal nie chce przejść się po kościach.

## Chciwość

Amerykański dziennik precyzyjnie dobrał cel i termin detonacji informacyjnej bomby. Apple to nie tylko największa amerykańska firma, której iProdukty bajecznie się sprzedają. To także marka, której popularność zależy w dużej mierze od przyjaznego wizerunku. Czy klienci będą zadowoleni, wiedząc, że chińscy robotnicy tracą zdrowie i narażają życie, polerując ekrany iPhone’ów?

W obszernej publikacji „In China, Human Costs Are Built Into an iPad” Charles Duhigg

## Pracuj w Wordzie jak redaktor

David Barboza wytoczyli przeciw Apple najcięższą artylerię. Wykazują, że w pogoni za zyskiem ta deklarująca troskę o standardy zatrudnienia firma dopuszcza do sytuacji zagrażających pracownikom. Artykuł ukazał się dzień po ogłoszeniu przez najbardziej dochodowe amerykańskie przedsiębiorstwo wyników swartalnych. Mimo postępującej recesji oszłamiających: Apple zarobił ponad 13 mld dol. Nic dziwnego, że tym razem zawrzało jak nigdy, mimo że podobne zarzuty wobec koncernu już padały. Oskarżony za każdym razem spadał na cztery łapy, zapewniając o swej niewiedzy i szczerze woli zmiany stanu rzeczy. Tym razem to nie wystarczy – oburzenie mediów jest powszechne, bez względu na sympatie polityczne. Już następnego dnia do rewelacji „NYT” odniosły się wszystkie najważniejsze trybuny anglojęzyczne: od konkurencyjnego „Washington Post”, przez Reutersa, CNN, po „Forbesa”. Tak, jakby materiał „New York Timesa” był kroplą, która przelała miarę. Fala uderzeniowa rozeszła się szeroko, ton komentarzy był zasadniczo podobny: tak, Apple nie jest jedyną firmą w przemyśle elektronicznym, która udaje, że nie wie, w jak skandalicznych warunkach wytwarzane są jej produkty. Tak, problem wykracza dalece poza tę

branżę. I tak – „NYT”, uderzając w lidera z Cupertino, tak naprawdę mierzył we wszystkich beneficjentów przeniesienia produkcji do Azji. Ale też – dodają publicyści – to właśnie Apple, dzięki swej dominującej pozycji, ma szansę coś z tym zrobić kosztem nieznacznego zmniejszenia zysków, które nadal byłyby przecieży biżantyjskie. Woli jednak poprzestać na makiażu objawów – działaniach pozornych, które dobrze wypadają w mediach, ale nie sięgają istoty problemu. A jest nią chciwość pozbawiona kagańca etyki.

## Najważniejszy jest pieniąż

„New York Times” nie twierdzi, że Apple w ogóle nie obchodzi los pracujących dlań chińskich robotników. Owszem, amerykańska firma wymaga od swoich dostawców przestrzegania ustalonego kodeksu, którego celem jest zapewnienie robotnikom przyzwoitych warunków pracy. Rzecz w tym, że te ambicje, nawet jeśli szczerze, okazują się nieistotne, gdy kolidują z głównymi celami koncernu: z zapewnieniem podaży zaspokajającej popyt na iGadżety oraz z minimalizowaniem kosztów produkcji.

– Wiemy o nadużyciach popełnianych wobec robotników w niektórych fabrykach już

od czterech lat, ale nadal nic z tym nie robimy – mówi dziennikarzom anonimowo jeden z byłych menedżerów Apple. – Dlaczego? Bo ten układ jest dla nas korzystny. Dostawcy zmieniliby wszystko już jutro, gdyby Apple powiedział im, że nie mają innego wyboru.

– Apple nigdy nie dbał o nic poza podnoszeniem jakości produktu i obniżaniem kosztów jego wytworzenia – tłumaczy „NYT” Chińczyk Li Mingqi, który pracował w przemysłowej aglomeracji Chengdu w fabryce Foxconnu, jednego z najważniejszych podwykonawców Apple. W ubiegłym roku w dwóch eksplozjach w fabrykach pracujących dla Apple, w tym właśnie w zakładach Foxconnu w Chengdu, zginęły cztery osoby, a 77 zostało rannych. Jak utrzymują chińscy działacze z walczącego o prawa robotników SACOM (Students & Scholars Against Corporate Misbehaviour), zanim doszło do tragedii, Apple został poinformowany o zagrażających zdrowiu i życiu warunkach pracy w fabryce w Chengdu. I zignorował ostrzeżenie.

Wielu chińskich robotników, aby tylko fabryka sprostała zamówieniom Apple, pracuje znacznie dłużej, niż pozwala ustalony limit 60 godzin w tygodniu, nierzadko ciurkiem przez siedem dni, z trudem stojąc →

## Poznaj wszystkie funkcje Worda

Praktyczny kurs Worda „Rzeczpospolitej” w ciągu 30 godzin skutecznie nauczy Cię między innymi śledzenia zmian w dokumencie, tworzenia spisów treści czy korespondencji seryjnej.

Kurs Worda cz. 1 – w poniedziałek, 27 lutego

Kurs Worda cz. 2 – we wtorek, 28 lutego

RZECZPOSPOLITA [rp.pl/hity](http://rp.pl/hity)



→ na nogach. Wymóg bardzo wysokiej wydajności, na granicy możliwości, to jeden z głównych powodów złych warunków w zakładach produkujących dla Apple. Drugi to bardzo twardy kurs w negocjacjach. Koncern, składając olbrzymie zamówienia, świetnie wie, że może pozwolić sobie na wiele. Wykonawca, zgadzając się na minimalny zysk na produkcie, zmuszony jest ciąć koszty własne – co odbija się na bezpieczeństwie i warunkach pracy tych, którzy w łańcuchu żywieniowym są najniżej.

To właśnie było przyczyną tragedii, do jakiej doszło dwa lata temu w produkującej iPhone'y fabryce we wschodnich Chinach. 137 robotników straciło zdrowie, polerując ekrany telefonów trującą substancją. Dlaczego menedżerowie decydują o wykorzystaniu – zamiast, jak należy, alkoholu – neurotroksyny, która uszkadza nerwy i wywołuje paraliż? Bo paruje trzykrotnie szybciej, co oznacza, że robotnik w tym samym czasie może przygotować więcej ekranów do dalszego montażu.

Apple wszystkiemu zaprzecza. Zarządzający firmą po śmierci Steve'a Jobsa Tim Cook twierdzi, że w walce o prawa podwykonawców w Azji koncern robi więcej niż ktokolwiek inny. Ta reakcja nie dziwi, warto jednak przypomnieć, że właśnie Cook przez lata odpowiadał w Apple za sprawy związane z produkcją.

**To dotyczy też mnie i ciebie**

Czy Apple ma prawo czuć się pokrzywdzony wątpliwym wyróżnieniem przez „New York Timesa”? Trochę tak, bo przecież nie jest osobniony w swojej postawie. Z drugiej jednak strony, wbrew temu, co twierdził Gordon Gekko w „Wall Street”, chciwość nie przynosi rozgrzeszenia. Gdyby Apple chciał, mógłby narzucić podwykonawcom w Azji zupełnie inne standardy, do których musieliby równać inni – i dalej zarabiać krocie. Pozycja lidera zobowiązuje. Doniosłość publikacji „NYT” polega w dużej mierze na uświadomieniu opinii publicznej, że firma z Cupertino ma nie tylko takie możliwości, ale i taką powinność. Ale też w komentarzach publicystów powtarza się opinia, że problem sięga głębiej. Głębiej nawet niż ignorowanie humanitarnych standardów przez liczne podmioty gospodarcze, które we własnych krajach na taki cynizm w imię zysków nie mogłyby sobie pozwolić. Problem tkwi w nas, konsumentach, bo łatwo przysmykamy oko na skandaliczne praktyki producentów, żądając coraz to nowych zabawek za coraz to mniejsze



Bobby Yip/REUTERS/FORUM

Ojciec niesie portret syna, który się zabił. Napisy głoszą: „Powiedzcie mi prawdę”, „Ma Xiangqian pracował i cierpiał”, „Zmarł w fabryce Foxconnu w Shenzhen”

pieniądze. Jeśli nie zaprotestujemy, historia będzie się powtarzać.

Media są już przekonane, że coś musi się zmienić – choćby dlatego, że Apple nie może sobie pozwolić na utratę twarzy. Padają porównania artykułu Duhigga i Barbozy do pierwszych tekstów opisujących negatywne skutki chemiczacji rolnictwa, co zaowocowało większą kontrolą nowych technologii pod kątem zdrowia konsumenta i stanu środowiska, a także modą na uprawy ekologiczne. Czy za rok lub dwa lata kupno elektroniki nieopatrzonej metką zaświadczyającą o godnych warunkach pracy podwykonawców będzie powszechnie postrzegane jako naganne? Czy powstaną sieci sklepów z elektroniką „Fair Trade”?

Apple na razie dwoi się i troi, by przekonać swych klientów, że gra fair. Że żaden inny producent nie robi aż tyle, by zapewnić robotnikom w Azji godną egzystencję.

Wysłanie do Chin inspekcji, która miała zbadać rzeczywiste warunki pracy przy montażu gadżetów Apple, zaowocowało jednak przede wszystkim gorzkimi komentarzami chińskich robotników. Ich pytania, jak po krótkiej wycieczce po fabryce trasą wyznaczoną przez właściciela można zapewniać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, zostaną w pamięci na dłużej niż uspokajające raporty inspektorów. Na Apple nie zostawił też suchej nitki Scott Nova z Worker Rights Consortium, punktujący hipokryzję decydentów tej firmy

pochylających się jakoby z troską nad losem robotników, których na co dzień wyzyskują. Liczby mówią więcej niż gwarancje z ust specjalistów od budowania wizerunku: jak wskazuje Nova, około zaledwie 1 proc. zysków ze sprzedaży iPada trafia do kieszeni wytwarzających go robotników, podczas gdy marża Apple to aż 33 proc. Niedawno Apple wymusiło na Foxconnie podniesienie pensji robotnikom. Jeśli jednak nie zwiększy znacząco marży producenta, trudno uwierzyć, by ten dalej nie szukał oszczędności kosztem ludzi.

**Strategia na samowyniszczenie**

W USA zdetonowana przez „NYT” bomba przyniosła też inne skutki niż zwrócenie uwagi na rzeczywiste koszty produkcji zabawek dla beneficjentów ze świata Zachodu. Kilka dni wcześniej ten sam dziennik zadał pytanie („How the U.S. Lost Out on iPhone Work”, piórami Charlesa Duhigga i Keitha Bradshera), dlaczego najbardziej profitowała amerykańska firma nie produkuje już, jak kiedyś, w kraju, ale

poza jego granicami. Czy zarabiając tak wiele, w dużej mierze dzięki kochającym jej produkty Amerykanom, nie powinna stworzyć miejsc pracy w USA? – Niewątpliwie byłby to olbrzymi impuls dla rodzimej gospodarki. Dlaczego wielkie korporacje ze Stanów Zjednoczonych, kiedyś poczuwające się do troski o lokalny rynek pracy nawet kosztem mniejszych zysków, zatraciły ten etos?

Jeszcze niedawno menedżerowie zarządzający wielkimi biznesami, słysząc takie zarzuty, tylko wzruszyliby ramionami. Steve Jobs zapytany wprost przez prezydenta Baracka Obamę, jakie warunki musiałyby zostać spełnione, by Apple produkował iPhone'y w USA, nie owijał w bawełnę: „Te miejsca pracy już nie wrócą”. Dziś, gdy zarówno pocztytni publicyści, jak i wierni klienci Apple zastanawiają się, czy moloch z Cupertino nie zasłużył na bokot, nie jest to już takie pewne. Tłumaczenia, że w USA zabrakłoby inżynierów na potrzeby Apple, brzmią naiwnie. Apple, jak wiele firm przed nim, mógłby zadbać o wyszkolenie kadry, gdyby tylko miał taką intencję. Byłoby to fantastyczne koło zamachowe dla kulejącej dziś gospodarki Stanów Zjednoczonych, a zyski, choć uszczuplone, nadal pozostałyby wielomiliardowe.

Ciekawe, jakie Apple wyciągnie z tej sytuacji wnioski. Ciekawe, jakie wnioski wyciągniemy z niej my wszyscy.

(NAPISANE NA KOMPUTERZE APPLE MACBOOK)

**TEŻ PYTANIE**

**P**Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!  
**KAROLINA SAWICKA**

**1. Gdzie dokładnie leżą antypody Polski i co się tam znajduje?**

Niestety Polska nie może pochwalić się atrakcyjnymi antypodami, czyli punktem leżącym dokładnie po przeciwnej stronie kuli ziemskiej. Dla Warszawy antypody leżą na południowym Pacyfiku, jakieś 2400 km od wybrzeży Nowej Zelandii. Jeśli chcemy być bardzo dokładni, to Śródmieście Warszawy ma antypody w punkcie o koordynatach -52.243568614433926, -159.00409698486328. Przyda się dociekliwym, którzy zechcą wstukać te liczby na przykład do Google Maps. Najbliższy nas punkt, którego antypody dają twarde oparcie pod stopami, to okolice Marsylii – po przeciwnej stronie Ziemi mają one niewielką wyspę Pitt należą-

cą do archipelagu Chatham. Prawdę mówiąc, nasza planeta nie ma obecnie szczęścia do atrakcyjnych antypodów – przy dzisiejszym układzie kontynentów ogromna większość łądów ma za antypody oceany. Właściwie solidne antypody ma południowa część Ameryki Południowej – to południowo-wschodnia Azja, zachodnia część Europy (Nowa Zelandia) i okolice podbiegunowe. Warto jeszcze wspomnieć, że kilkadziesiąt lat temu zupełnie poważnie rozważano problem, czy na antypodach mogą w ogóle żyć ludzie, a jeśli tak, to czy Chrystus musiał oddzielnie objawić się w tym rejonie, czy może żyjący tam są całkowicie skazani na potępienie.



CORBIS

**Nasze nagrody:**

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolecie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagłobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



**MAREK RACZKOWSKI**



**2. Czy ludzkość zdoła sobie w końcu wyrobić ewolucyjnie odporność na AIDS?**

Sprawa jest trudna. Po pierwsze obecnie wśród ludzi dość słabo działa selekcja naturalna. Wymaga ona, w pewnym uproszczeniu, tego, by skuteczniej rozmnażali się ci ludzie, którzy mają większą odporność na wirusa. Ci o niższej odporności powinni wcześniej umierać, mieć niższą płodność lub płodzić dzieci, które będą się mniej skutecznie rozmnażały.

Tymczasem AIDS rozwija się stosunkowo wolno, w dodatku wspólnie leki antywirusowe przedłużają życie chorych o dziesiątki lat. Co więcej, dzieci chorych

same nie muszą chorować – potrafimy temu skutecznie zapobiegać. Nie ma więc wyraźnej presji selekcyjnej, ludzie o wyższej odporności nie mają okazji przekazać swoich genów większej liczbie potomstwa. By zadziałały mechanizmy ewolucyjne, musielibyśmy przestać stosować osiągnięcia współczesnej medycyny, a szczerze mówiąc, mamy nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Wiele za to wskazuje, że w końcu uda nam się opracować wystarczająco skuteczną szczepionkę przeciwko wirusowi HIV.

**3. Słyszałem o operacji, podczas której usuwa się człowiekowi połowę mózgu. Po co się to robi i jak to się dzieje, że druga połowa nie lata luzno w głowie?**

Operacja hemisferektomii, czyli usunięcia jednej połowy mózgu, przeprowadzana jest przede wszystkim w leczeniu bardzo ciężkich form epilepsji, które nie reagują na typowe terapie. Faktycznie po usunięciu półkuli w czasie pozostaje wolna przestrzeń o niebagatelnej objętości rzędu 0,7 litra. Jednak mózg nie jest w czasie umieszczony luzno – utrzymuje go w miejscu szereg struktur o wdzięcznych nazwach – choćby namiot mózdzku czy sierp mó-



Michael Prince/CORBIS

zgu. Zwłaszcza sierp ma zasadnicze znaczenie, utrzymując i rozdzielając półkule. Mocowanie mózgu jest na tyle silne, że nawet mocne wstrząsy nie powinny zaszkodzić człowiekowi po hemisferektomii.



# Architektura na kacu

Przestańmy ekscytować się kolejnymi utopiami – postuluje w rozmowie z Jackiem Tomczukiem **GRZEGORZ PIĄTEK**, współautor wydanej przez Bęc Zmiana książki „Coś, które nadchodzi. Architektura XXI wieku”

**W 2050 r. średnia wieku człowieka będzie wynosiła 110 lat. Co to znaczy dla architektów?**

– Konieczność przeprojektowania całego środowiska. Ze starzeniem się powiązany jest brak ostrości wzroku, zmiana w widzeniu kolorów, słabszy słuch. Ręce nie mają siły, schyłnie się wymaga wysiłku. Starsze osoby przeraża wejście do hipermarketu, mogą wziąć tylko to, co jest na wysokości wzroku. Wielkie pięciokilogramowe puszkę są za ciężkie. Muszą się zmienić opakowania, sklepy, nawet kolorystyka nawigacji. Kolory muszą nie tylko ładnie wyglądać, ale być czytelne dla starszych.

**A konkretniej?**

– Konkretnie niewiele wiemy. Snucie futurologicznych planów skompromitowało się. Kiedy wrócimy do wizji XXI w. sprzed 50 lat, zobaczymy, że nic się nie spełniło: gdzie te miasta przypominające wielkiego płaza, które chcieli budować metabolisci japońscy? Postęp nie będzie się manifestował w coraz nowocześniejszej formie – dokonuje się na niewidocznym poziomie. Niedawno widziałem karykaturę, jak zmieniała się moda w ostatnim stuleciu: człowiek z 2012 r. niewiele różnił się od człowieka z 1992 r. oprócz słuchawek od iPod'a. I tak będzie z architekturą, raczej będziemy trwać przy formach, jakie już wymyśliliśmy. Nowe mogą być materiały i to, co niewidoczne – instalacje, konstrukcje. Może doczekamy się domów zbudowanych z żywej tkanki, którą można przycinać jak żywopłot albo lepić.

**Naprawdę w to wierzysz?**

– Tak, ale nie jestem przekonany, że będzie to miało wpływ na wygląd budynków i że zostanie szybko wprowadzone na masową skalę. Fetyszyzowanie technologii w architekturze to temat zastępczy, w XX w. często maskował brak prawdziwej wizji lub ukryte intencje. Dobrze to widać po architekturze zjednoczonych Niemiec, która bywa ostentacyjnie technologiczna, bo nie może być klasycznie monumentalna, z wiadomych względów źle to się kojarzy. Być może technologie przyszłości już mamy, ale nie wiem, co musiałoby się



stać, żeby wymusić na całej branży zmianę nawyków. Na razie na budowach leje się beton jak 100 lat temu, a w zeszłym roku w Polsce padł kolejny rekord zużycia cementu. Wiek XXI będzie należał chyba wciąż do betonu.

**Jak pogodzić twardy beton z szybko zmieniającą się rzeczywistością, mobilnością ludzi?**

– Być może powstaną budynki z materiałów, które będą rodzajem plasteliny: masz gości i za małe mieszkanie, rozpychasz je trochę, by zmieścić się jeszcze jeden materac. Ale to fantazja. Bardziej prawdopodobne jest, że potrzeba nowości, mobilności będzie zaspokajana przez nowe technologie. Płynne życie może świetnie się czuć w twardej architekturze. Potrzeby ludzkiego ciała nie zmienia-

ją się tak szybko jak moda. Proszę popatrzeć na nasze kuchnie, zostały wymyślone w latach 20. XX w. i prawie nie zmieniły się, tyle że dziś jest więcej AGD. Zmieniają się ulubione kolory i detale, ale dalej blat kuchenny jest na wysokości około 80 cm, układ: lodówka, kuchenka, zlew – pozostał. Zadaniem architektury XXI w. nadal będzie zapewnienie trwałego, funkcjonalnego schronienia człowiekowi, jego ciału.

**Czyli nic nowego?**

– Niby tak, jednak w XX w. mieliśmy poza technologią jeszcze parę tematów zastępczych, które to główne zadanie spychały w cień. Te dyskusje o ekologii w architekturze czy na temat tego, co jest gustowne, a co nie-

To były drugorzędne problemy wobec pytania, jak działa architektura, komu i jak służy. Łatwo zrobić z architekta apolitycznego fachowca niezainteresowanego ideologią. Le Corbusier jest świetnym przykładem: projektował Pałac Ligi Narodów w Genewie, i Pałac Sowietów w Rosji. Wielu architektów tak jak on umywa ręce od strony społecznej swojej pracy czy polityki. Można zbudować budynek dla rządu czy sądu, w którym posiedzenia odbywają się za grubym murem lub za ścia-

jakiś nadzwyczajne możliwości, ich PR-owcy i inwestorzy wmówili nam, że to wizjonerzy. To prawda, jeśli słowo „wizja” rozumieć jako efektywność, ale jeżeli jako program na przyszłość, to niekoniecznie. Projekty Gehry'ego czy Foster'a to architektura, która udaje supernowoczesną, ma w sobie fałszywą zapowiedź przyszłości. Tak naprawdę to bardzo tradycyjna, nieelastyczna, opresyjna oferta. Sztandartowy przykład: Muzeum Guggenheima w Bilbao Gehry'ego ma dynamiczne formy, ale jako

mieniono kanalizację... Muzeum to wisienka na torcie tych zmian, ich emblemat, turysta widzi skorupę Franka Gehry'ego i myśli: to muzeum zmieniło losy Bilbao. Niestety, wiele miast europejskich, w tym Łódź, nabrało się na „efekt Bilbao”, uwierzyły, że zatrudnienie staroarchitekta i wybudowanie spektakularnego gmachu zmieni ich sytuację.

Wiele miast wpadło też w pułapkę miasta kreatywnego. Twórca tego pojęcia Richard Florida jeździ po świecie z wykładami i wmawia kolejnym burmistrzom, że jego miasto ma szansę stać się ośrodkiem kreatywności, że trzeba ściągnąć agencje reklamowe, firmy IT, zorganizować festiwal designu. Opowiada, jak stworzyć przemysł kultury, który napędzi PKB. A przecież to nie jest rozwiązanie dla wszystkich. Zamiast zastanowić się, jakie atuty ma dane miasto, przywozi się gotowe rozwiązanie w teczce. Tak też jest z architekturą i przestrzeniami publicznymi. Panuje przekonanie, że gdzieś indziej wiedzą, „jak to się robi”, i wystarczy kopiować. W Azji powstają identyczne kopie europejskich miast. Chińskie Songjing, położone 30 km od Szanghaju, jest dokładną kopią angielskiego miasteczka z wiktoriańską zabudową, z kościołem, targowiskiem, barem. W okolicach Szanghaju powstało już dziewięć miast, nazwy mówią same za siebie: włoskie, szwedzkie... Ten trend to kseroarchitektura.

Dochodzimy do kolejnego wyzwania dla architektów i ich mocodawców: koniec z beznadziejnym eksportem gotowych rozwiązań, wierzę, że przyszłość należy do rozwiązań szytych na miarę. Tym bardziej że możliwości zbierania danych i analizowania ich są większe niż kiedykolwiek wcześniej: badania przepływu ludzi, samochodów, zachowań w przestrzeni publicznej, subiektywnych odczuć i preferencji... Takie dane trzeba wykorzystywać, a nie jeździć z wizytami do miast partnerskich i podpatrywać, jak coś zostało zrobione setki kilometrów stąd.

**Streetarchitekci wyprą staroarchitektów?**

– Chciałbym, żeby wiek XXI należał do lokalności, ale nie pojmowanej tak jak dziś – na przykład, że plan zabudowy zakłada korzystanie z lokalnego kamienia czy dachówki, którą kładzie się w okolicy „od wieków”. Ważniejsze, by to, co zbudujemy pod tą dachówką, zapewniało dobre środowisko do życia. Zamiast prognozować, jaka będzie architektura tego wieku, warto zapytać, jaka być powinna, jakiej architektury potrzebujemy jako obywatele, grupy zawodowe, środowiska, wspólnoty, regiony... Epoka staroarchitektów, →

Sztuczna wyspa usypana na dnie szelfu u wybrzeży Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich



Matthias Seifert/REUTERS/FORUM

na ze szkła. Fasada Sądu Najwyższego w Warszawie jest ze szkła, ale to szkło odbija obraz, nie można zajrzeć do środka. To zadanie dla architektury w XXI w., odzyskanie imperatywu etycznego, świadomości, jakiej wizji społeczeństwa się służy, i przyznanie, że architektura nie jest niewinna.

**A jednak architekci w XX w. tracili niewinność wyjątkowo często.**

– Ostatnio padła wiarygodność staroarchitektów: Zaha Hadid, Frank Gehry, Norman Foster... I nie chodzi o to, że służyli despotom, projektowali na igrzyska w Chinach, ale o ich rolę w rozwoju kapitalizmu, że służyli temu jednemu procentowi najbogatszych ludzi świata. Przyzwyczailiśmy się przypisywać im

przestrzeń wystawiennicza jest skrajnie niefunkcjonalne. Podobnie z MAXXI – nowym muzeum Zahi Hadid w Rzymie. Przypomina model supernowoczesnego samolotu, ale to tylko model, nigdy nie polecą.

**Nie przesadzasz? Muzeum Guggenheima w Bilbao to nie opresja, ale szansa dla miasta.**

– To mit, muzeum zmieniło wizerunek miasta, ale nie jego rzeczywistość. Władze jakieś 20 lat temu podjęły wysiłek, żeby z Bilbao, przemysłowego miasta kojarzonego z terroryzmem (takiego skrzyżowania Łodzi z Sarajewem), na którym ciąży wojenna trauma, zrobić atrakcyjne, wygodne europejskie miasto. Zainwestowano w metro, tereny zielone, służbę zdrowia, szkoły, place zabaw, wy-

→ którzy udają, że wiedzą lepiej, czego chcemy, symbolicznie skończyła się w 2008 r., wraz z upadkiem Lehman Brothers.

**Co ma wspólnego Zaha Hadid z upadkiem Lehman Brothers?**

-Dziś widać, że pierwsza liga architektów służyła finansowym graczom do pompowania spekulacyjnej bańki. Banki, fundusze inwestycyjne w poszukiwaniu zysków zaczęły handlować nie tylko realnymi budynkami, ale też obietnicami budynków i zysków. Architekci kreśliли setki odrealnionych wizji, które powstawały tylko po to, by przetestować, co i za ile jeszcze można sprzedać. A dało się wiele, więc powstawały niepotrzebne, za to efektowne projekty - od pojedynczych apartamentowców i biurów po całe miasta i sztuczne wyspy. W efekcie architekci tak samo stracili kontakt z rzeczywistością jak rynki finansowe. Skończyło się porażką.

**Ciągle rozmawiamy o architekturze wielkiej skali: miasta, muzea. A co z mieszkaniem przyszłości?**

-Architektura mieszkaniowa jest w defensywie. Najpierw, w latach 70., przyczyniła się do tego kompromitacja idei modernistycznych. Modernizm obiecywał, że załatwi problemy miasta raz na zawsze, ale nie wziął pod uwagę tego, że musi być w nim miejsce na różnorodność i nieprzewidziane przez architekta potrzeby. To widać dobrze na przykładzie naszych osiedli - piękne i logiczne na deskach kreślarskich zaczynają wyglądać karykaturalnie i chaotycznie, gdy dopuści się nieprzewidziane przez projektantów nowe budynki i funkcje. Sądzę jednak, że razem z modernizmem pogrzebaliśmy wiele trafnych idei i potrzebny jest ponowny namysł nad jakością środowiska mieszkalnego. Jeśli popatry się na przeciętną produkcję mieszkaniową w dzisiejszej Polsce, to jest ona pod wieloma względami gorsza niż bloki z lat 50. czy 60. - nie dba się o usytuowanie pomieszczeń i okien względem stron świata, wzrosły metraże, ale rzuty mieszkań są gorsze. Nie ma co się dziwić, jeżeli kupuje się niewybudowane metry kwadratowe na ekranie komputera albo kiedy są inwestycje, w których większość mieszkań kupują ludzie, którzy nigdy nie wprowadzą się do nich, tylko od razu wynajmują je lub liczą na korzystną odsprzedaż. W takich warunkach nie ma powodu, by dbać o jakość tego mieszkania.

**Ale to się nie zmieni. Nie zaczniemy kupować mieszkań jak telewizorów w sklepie: najpierw**

**oglądam, potem płacę. Pytanie, jak poprawić jakość tych mieszkań w obecnym systemie?**

-Trzeba wymuszać ją na architektach i deweloperach - legislacją, naciskiem konsumentkim, rozwojem i popularyzacją dobrych wzorców. Wierzę, że formą takiego nacisku będzie powrót do mieszkalnictwa komunalnego. W Polsce obserwujemy odwrót od tej formy, a to błąd. W Niemczech czy Danii lokale komunalne, jako uwolnione od presji rynku, wyznaczają standardy prawidłowego zagospodarowania środowiska mieszkalnego. W nich architekci mogą skupić się na doskonaleniu rzutu, proponować nowe rozwiązania.

**Czy w czasach nieustającego kryzysu, kiedy państwo pozbywa się obciążeń, powrót mieszkalnictwa komunalnego to nie utopia?**

-Tę ideę warto odświeżyć. Rodzajem testu, czy władza jest w stanie ją podjąć, będzie eksperyment we Wrocławiu. W związku z przyznaniem mu miana Europejskiej Stolicy Kultury

**” Architekci i ich mocodawcy muszą posprzątać po wielkiej imprezie, jaką była końcówka XX w. i początek kolejnego**

GRZEGORZ PIĄTEK

w 2016 r. miasto zapowiedziało wybudowanie wzorcowego osiedla, które zerwie z dotychczasowym stawianiem kolejnych „sypialni”, ale zaproponuje rozwiązania na miarę i potrzeby mieszkańców XXI w. Okaże się, czy cała ta akcja będzie okazją, by podzielić między deweloperów atrakcyjne działki, a ci zbudują bardzo atrakcyjne formalnie budynki, czy nastąpi próba przemyślenia rozwiązań w skali całego osiedla. Układu mieszkań, rozwiązań komunikacyjnych, przestrzeni wspólnych, szkół, przedszkoli... Ten projekt nawiązuje do eksperymentalnego osiedla WUWA, które powstało we Wrocławiu w 1929 r. To właśnie takim eksperymentem, na przykład komunalnym i spółdzielczym osiedlom z lat 20., zawdzięczamy wiele innowacji stosowanych do dziś. Na przykład wspomniany już standard nowoczesnej kuchni powstał dzięki światłości władz Frankfurtu nad Menem, które sfiansowały projekt i wprowadziły go w życie w 10 tys. nowych mieszkań.

**Wszystko wskazuje, że wiek XXI będzie w architekturze wyjątkowo nudny. Żadnych utopii, szaleństw...**

-Utopie na pewno będą powstawać, tylko czy są nam potrzebne? Utopia zawsze jest wymuszeniem, wtłoczeniem życia ludzkiego w jakieś ramy wymyślone przez kogoś, kto „wie lepiej”. Mam nadzieję, że przyszłość będzie należeć do oświeconych ekspertów, a nie do podejrzanych demiurgów, którzy narysują nam śliczne wizualizacje.

**Czeka nas stulecie betonu i rzemiosła?**

-Architekci i ich mocodawcy muszą posprzątać po wielkiej imprezie, jaką były końcówka XX w. i początek XXI. Zabalowali, stracili kontakt z rzeczywistością, a teraz mają kaca. Muszą umyć się, ogarnąć i zabrać do pracy. Czas wrócić na ziemię, przypomnieć sobie, że przy projektowaniu domu trzeba dobrze narysować łazienkę, kuchnię, okna, a nie zaczynać od dywagowania, w jakim powanien być stylu i czyja próżność ma zaspokoić.

**Ale nawet w XXI w. architektura będzie towarem, nic się nie zmieni.**

-Zgoda, dom jest towarem jak but czy samochód. Ale producentów wszystkich tych towarów powinna cechować rzetelność i świadomość celu. Już w XIX w. mieliśmy do czynienia ze spekulacją na rynku nieruchomości. Tyle że ostatnia bańka spekulacyjna sprowadziła architekturę do pozycji w Excelu, a architekci zapomnieli, że budują dla ludzi.

**Stadion Narodowy w Warszawie to architektura na miarę XXI w.?**

-Powstał za pieniądze nasze, podatników, które zostały przekazane jednoosobowej spółce państwa, a ona zbudowała obiekt, do którego nie będziemy mogli się zbliżyć, bo otacza go płot. Jeśli wrócimy jako klient z biletem na mecz, to proszę bardzo, zapraszamy do środka. Mam nadzieję, że to nie jest kierunek, w którym pójdzie miasto XXI w. Ale miejmy też trochę dla architektów. Przyzwyczailiśmy się myśleć o architekturze jako o omnibusie, który ma w małym palcu wiedzę z wielu dziedzin: sztuki, inżynierii, psychologii, urbanistyki i tak dalej. Sądźmy, że panuje nad tym, co buduje. Ale takie czasy się skończyły, tak jak czasy amatorów, którzy mogli wynaleźć żarówkę w domowym laboratorium. Architektura zależy od zbyt wielu czynników: wyspecjalizowanych technologii, kaprysów rynku, zawilych przepisów, globalnych przepływów kapitału. Tego wszystkiego nie jest w stanie objąć jedna osoba, jej prace przejmują multidyscyplinarne zespoły, gdzie kilkadziesiąt osób głowi się nad jednym problemem, na przykład jak sprawić, by zamknięty jest poza kompetencją architekta. Właściwie architektura wymyka się architektom.

# Rewolucja Bossa

Bruce Springsteen głosem robotniczej Ameryki? Cóż, uwierzyli w to nie tylko jego fani, ale i reszta świata

ANNA GROMNICKA

**T**rudno się dziwić. „Wrecking Ball”, najnowsza płyta Bruce’a Springsteena, zaczyna się ostro - od „We Take Care of Our Own”. „Znikąd pomocy, kawaleria została w domu” - śpiewa artysta o tych, którzy Amerykę i jej obywateli zostawili samym sobie. O kim mowa? O rządzie, politykach, lobbyistach i waszyngtońskich PR-owcach, którzy ze strachu przed skutkami kryzysu i gniewem zwykłych Amerykanów zamknęli się w swoich luksusowych loftach.

Przed tygodniem Springsteen po raz pierwszy powiedział publicznie, że „Wrecking Ball” powstała z niezgody na nierówności społeczne w USA. Przez lata nikt nie mówił o gigantycznych różnicach w dochodach biednych i bogatych - mówił. - Zanim jesienią powstał ruch Occupy Wall Street, nikomu nie przyszło do głowy zaprotestować przeciwko okradaniu tego narodu. Ale nastroje się zmieniły. I sprawili to ludzie na ulicy.

Artysta nawet nie ukrywa, że w tym wszystkim chodzi o politykę, a nie o muzykę, która zyskuje swój właściwy wymiar wywrzeszczania wspólnie z wielotysięczną publicznością. 62-letni Springsteen walczy o równe szanse dla wszystkich z takim samym, o ile nie większym zaangażowaniem co poprzednio. Pozornie nic się nie zmieniło. Gdy 4 czerwca 1984 r. wydał swój najsłynniejszy album „Born in the USA”, najpierw fani, a potem politycy oszaleli. Urodziłem się w mieście straceńców, już po pierwszym kopniaku wylądowałem na ziemi” - śpiewał. Oto wszyscy dostali wreszcie ucieśnienie amerykańskiego snu, namacalny dowód na to, że można wywodzić się z klasy robotniczej i być z tego dumnym, a do tego grać porządny rocka.

Springsteen dał się uwiecznić słynnej fotografcie Annie Leibovitz na tle flagi USA. Pożował w niebieskich dżinsach, białej koszuli, czerwonej czapce. Żaden amerykański son-



Sony Music

gwriter, ani Woody Guthrie, ani Bob Dylan, nie byli w połowie tak seksowni jak on. No i ta gitara: w rękach Bossa przypominała kilof.

„Born in the USA” opowiada o anonimowym żołnierzu pozostawionym na pastwę losu w małym więzieniu, gdzie śni swój koszmar o Wietnamie. W rzeczywistości jednak jest o Stanach Zjednoczonych, kraju pozbawionym ojców: „Tam, w ciemnym kącie więzienia, gniję od 10 lat. Jestem dawno już zaginionym tatą w Ameryce”. Politycy, w tym ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan, rozplywali się w zachwytach. Gdy ubiegał się o reelekcję w tym samym roku, protekcyjnie napomknął, że „przyszłość Ameryki spoczywa w tysiącach marzeń w naszych sercach. Spoczywa w przesłaniu nadziei w pieśniach człowieka, którego tak wielu młodych Amerykanów podziwia, syna New Jersey - Bruce’a Springsteena. Moja praca polega tylko na tym, żeby pomóc wam w spełnianiu tych marzeń”.

Siedem lat po nagraniu tego albumu patriotyczny szlagier powrócił za sprawą wojny w Zatoce. „Born in the USA” stało się hymnem wojny, ochoczo przywoływanym przez repu-

blikanów i największe media. Czy teraz, przy „Wrecking Balls”, muzyka nie boi się, że w podobny sposób zawłaszczy go prawa strona sceny politycznej? Odpowiada, że jeśli komuś zechce się posłuchać tekstów, zrozumie, iż tu nie chodzi o stawianie po lewej czy prawej stronie. - Wielka obietnica dana nam została złamana - mówi o stanie administracji rządowej i nadziejach Amerykanów na jutro. - Nie możecie mieć USA, jeśli większości z nas mówicie, że nie załapią się na ten pociąg. Znaleźliśmy się w punkcie, w którym społeczeństwo się załamuje.

Rok po zakończeniu wojny w Zatoce Stany Zjednoczone miały już nowego prezydenta, demokratę Billa Clintona, ale słowa Springsteena wciąż brzmiały mocno.

W „Born in the USA” artysta śpiewał też o amerykańskich ojcach, którzy nie byli w stanie być głowami swych rodzin. Nie bez przyczyny. Podczas paryskiej konferencji zapowiadającej jego najnowszą płytę mówił o swoim tacie, który stracił pracę w latach 70. i już nigdy się z tego nie otrząsnął. - Dorastałem w domu, w którym o tych rzeczach się milczało. To moja matka zarabiała na chleb. Była twarda, a ja mam to po niej.

Teraz Boss śpiewa mroczne i pełne pasji protest songi. Co czeka „Wrecking Balls”? Los okupujących Wall Street? Na pewno nie, bo większość piosenek na płycie to po prostu dobre utwory, a do tego są śpiewane porywcją. Wystarczy zresztą popatrzeć na nagrania z koncertów, na których Springsteen wyciska z zespołu siódme poty, a ludzie skandują słowa. Dawno nie było muzyka, który do pokrzywdzonych przez recesję Amerykanów krzyczy ze sceny: „Bądźcie wytrwali w gniewie. Przynieście swoje kule burzące”. A oni mu wierzą tak, jak nie uwierzą już ani Barackowi Obamie, ani Newtowi Gingrichowi czy Mittowi Romneyowi. W roku wyborów prezydenckich w USA Boss robi swoją rewolucję. Kto pójdzie za nim walczyć o swoje? ●

# Narysować chaos i hałas

Staram się dzieci traktować serio – mówi w rozmowie z Jackiem Tomczukiem **MARTA IGNERSKA**, która publikacją „Wszystko gra” wygrała prestiżowy konkurs na najładniejszą książkę dla najmłodszych

## „Wszystko gra”?

– Jak najbardziej. Cieszę się z wygranej, zresztą w Bolonii zwyciężam po raz drugi. Cztery lata temu udało się książką „Tuwim. Wiersze dla dzieci”. Wtedy na targach nikt mnie nie zaczepiał, żeby o tej książce pogadać, kupić licencję. Trochę to rozumiem, bo książki oparte na poezji zawsze słabiej się sprzedają. Wyjechałam z trochę mocniejszym portfolio. Jestem ciekawa, jak będzie teraz. „Wszystko gra” ma większe szanse, jest proste, uniwersalne, podejmuje nieoklepany temat. Niestety, Bologna Ragazzi Award nie niesie ze sobą żadnej nagrody finansowej. Statuetka trafia do wydawcy, ilustrator nie jest tam nawet oficjalnie zaproszony. Mam nadzieję jednak, że ta nagroda otworzy mi drogę do współpracy z innymi wydawnictwami, w końcu to jedna z największych na świecie.

**Jury w uzasadnieniu przyznania pani głównej nagrody napisało, że doceniło poczucie humoru i powagę rysunków. Widać nawiązania do sztuki antycznej,**

**Picassa, ekspresjonizmu. Po co to dzieciom?**

– Ten rok został ogłoszony Rokiem Janusza Korczaka, który kiedyś powiedział: „Nie ma dzieci, są ludzie”. Staram się dzieci traktować serio. Mam wielki szacunek dla ich wyobraźni, chcę pokazać, że istnieje alternatywa dla świata lalek Barbie. Poza tym przecież to często my, dorośli, czytamy naszym dzieciom. Nie rozumiemy, dlaczego mamy się wtedy nudzić. Zabawa polega na odnajdywaniu znaczeń – im więcej, tym lepiej. Grupa instrumentów muzycznych, bohaterów książki to nic innego jak przekrój przez ludzkie charaktery. Bardzo mi pomógł tekst Anny Czerwińskiej-Rydel, która opisuje moment przed rozpoczęciem koncertu orkiestry symfonicznej. Muzycy stroją instrumenty, słyszą chaos i hałas. Wchodzi dyrygent i nadaje temu kształt. Nie musiałam nic wymyślać – wszystko jest w tekście, trzeba było tylko to usłyszeć i zmienić formę – z muzycznej

na plastyczną. Znalazłam to przeciwieństwo, które było osią kompozycji, nadało sens całości: entropia/porządek. I gotowe.

**Artystyczna książka dla dzieci to nieco „podejrzany” gatunek. Nie ma pani wrażeń, że dzieci służą do usprawiedliwienia narysowania czegoś dla siebie, innych rodziców?**

– Na rynku jest ogromna liczba tzw. pseudo-artystycznych propozycji książek dla dzieci. Takich, które tylko coś udają. Dzieci są jak

Najlepiej drą się kartki z „Wielkich marzeń”, a po głowie najskuteczniej się wali twardą oprawą „Tronika” (wcześniejsze książki Marty Ignerskiej – przyp. red.). Rekordy oglądalności bije u nas atlas zwierząt.

**Skąd pomysł na ilustrowanie książki dla dzieci? Chciał być operatorem filmowym, ale – jak mówią – chcesz rozśmieszyć Pana Boga, powiedz mu o swoich planach. Nie udało mi się dostać na filmowe studia, zdałam**

na ASP w Warszawie. Ktoś polecił mi ilustratorce Joannie Olech i Marcinowi Brykczyńskiemu, którzy szukali osoby, która zajęłaby się zrobieniem projektu graficznego ich książki. Nie mogłam się oprzeć i zrobiłam też kilka ilustracji. Potem pracowałam jako grafik Zachęty, potem w agencji reklamowej. Rok temu założyłam studio graficzne i jestem sobie panem, sterem i okrętem.

**Do Bolonii na rozdanie nagród weźmie pani ze sobą swój nowy projekt. Co to takiego?**

– To projekt „Czarne/Białe”, rodzaj gry dla dzieci i rodziców o tym, jak

świat składa się z paradoksów i przeciwieństw. Każda rozkładówka to dwa skonfrontowane ze sobą obrazy. Jest około 20 par. Każdej z nich odpowiada para słów, np. naturalny/sztuczny, suchy/mokry, płakać/śmiać się itp. Zabawa polega na tym, żeby dopasować jak najwięcej słów do rysunku, w tym jedną główną parę. To mój pierwszy autorski projekt, jestem ciekawa, czy uda mi się kogoś do niego przekonać! Na razie w Bolonii zaproponowano mi dwa spotkania.

**My proponujemy narysowanie Zygmunta Baumana na okładkę „Przekroju”.**

– Czemu nie.



\*\*\*\*\*

**Marta Ignerska**  
„Wszystko gra”, Wytwórnia,  
Warszawa 2012, 33 zł

## MUZYKA

### Nocna muzyka

Każda ich płyta brzmi tak samo, a piosenki trudno rozróżnić. Tym razem jednak jest inaczej, choć ciągle trudno pomylić Tindersticks z jakimkolwiek innym zespołem

**P**ewnie jest wiele osób, którym wieczorami w samochodzie wystarczy głośne słuchanie RMF FM albo Radia Eska. Jednak jeśli ktoś z was ma na to za słabe subwoofery albo nerwy, niech spróbuje przez jakiś czas pojeździć autem z nowym albumem Tindersticks. O ile wcześniejsze piosenki Stuarta Staplesa nawiązywały się do kolacji przy świecach, tak „The Something Rain” to raczej jednostajna nastrojowa ścieżka dźwiękowa. Psychodeliczne „This Fire Is Autumn” i jazuujące „Frozen” najlepiej brzmią na rozjasnionych lampami drogach szybkiego ruchu i obwodnicach, a pełne dramaturgii „Show Me Everything” czy snujące się „A Night So Still” idealnie pasują



do atmosfery opustoszałego centrum miasta nocą. Sekcja rytmiczna nadaje spokojny puls, delikatnie tło tworzą klawiszowe gitary, momentami pojawiają się też instrumenty dęte i smyczkowe oraz kobiece chórki, a Staples melodeklamuje swoje teksty albo nieśmiało nuci melodie. W radiu raczej takiej muzyki nie usłyszycie, dlatego lepiej nie wyciągajcie tej płyty z odtwarzacza.

JACEK SKOLIMOWSKI

\*\*\*\*\*

**Tindersticks**  
„The Something Rain”, Lucky Dog/Sonic

## Hardcore dla tańczących inaczej

Nie mówię nie, nie mówię tak. Słucham, tańczę to intrygujące „coś” i czekam na więcej Sofy w Sofie



**N**a to „coś” czekali zresztą oni sami. Długo szukali czegoś, co pozwoli im uciec od męczących porównań z Sisters. Teraz, jeśli pożyczają, to bardziej z własnego dzieciństwa, smakującego chłodną elektroniką, house'em i rapem rodem z MTV. Pamiętacie Technotronic, Salt'n'Pepa i mc Hammera? Jeśli tak, to wiecie, o czym mowa. To pocztówka, w której po słonecznej plaży Miami przechadza się Goldfrapp, Underworld ogląda M.I.A., gdy ta tańczy na norweskich fiordach, a mroczny Kid Cudi sampluje całą słodycz duetu Air. Sofa na dobre dołącza do nielicznej u nas grupy muzyków, którzy potrafią zrobić świetną płytę taneczną, nie rezygnując przy tym z oryginalnych, inteligentnych tekstów („On

nie mówię”, „Chłopcy”) i błyskotliwej zabawy brzmieniem („Hardkor i Dysko”). Choć jak dla mnie wciąż mało tu Kasi Kurzawskiej, którą uważam za jedną z najlepszych polskich wokalistek. Nie zaszkodziłoby wszczyć w ten album więcej wrodzonego smutku Kasi. Może Sofa powinna jeszcze mocniej „połamać” swój brzmieniowy kręgosłup, żeby kolejną płytą wreszcie dokonać wyłomu na polskim rynku? W każdym razie zamiast pretensjonalnych „Egzorcyzmów Emily Roze”, klubowego „Headlights” i „Chaos Adho”, gdzie electroclash, techno, syntezatory i voocoder walczą ze sobą o lepsze, ja wybieram „Electro Insanity”. Łaszę się też do „Serpentyn i mydlanych baniek”. Zawieszam się na pierwszym „On nie

mówi”. Wracam do Sofy po „Obrazienia wewnętrzne”, z których wpływają flaki cyfrowej miłości i natrętny wers: „wygramy i tak”. Uciekam w stronę końca świata na „Hardkor i Dysko”, a potem do „Chłopców”, w których spotykają się wszystkie różnice płci. Tu, w intrygującym tunelu w czasoprzestrzeni, pulsuje jakieś zapomniane MC-505. I w końcu myślę – ech... oni „wygrają i tak”.

ANNA GROMNICKA



\*\*\*\*\*  
**Sofa, „Hardkor i Dysko”**, EMI 2012

## Melancholia to za mało

Szykowała się impreza dekady, a wyszedł zwyczajny wypad do znanego klubu

**G**oldfrapp zaczęła kapela jest – pięć różnorodnych, dobrych albumów („Supernature” był nawet nominowany do nagrody Grammy) i kilka parkietowych hymnów („Ooh La La”, „Train” czy „Rocket”), które do dziś mają się nieźle. Jako fan hiperseksownego głosu Alison

Goldfrapp, brzmiącej niczym połączenie Marleny Dietrich z Debbie Harry, i doskonałego warsztatu Willa Gregory'ego (nawiasem mówiąc – wiedzieliście, że facet grywał na oboju u Tori Amos?) cieszyłem się więc jak dziecko na wieść o premierze pierwszego zestawu singli angielskiego duetu. Mam jednak mieszane odczucia. Po pierwsze brak tu kilku żelaznych klasyków, że wspomnę tylko o „Twist” i „Fly Me Away”. Po drugie trudno nie odczuwać głodu ciekawych bonusów, o które aż prosi się na takim wydawnictwie



\*\*\*\*\*  
**Goldfrapp**  
„The Singles”, EMI

# Indoktrynacja bezinwazyjna



Teatr nas nie ocali – przestrzega Michał Zadara

**T**ak chyba nie zaczyna się żadna polska sztuka XIX-wieczna. Bankructwo firmy Gluckschnella doprowadza do ruiny rodzinę hrabiego Jerzego. Nieostrożnie inwestujący bohater staje się winny upokorzenia i deklacji matki oraz siostry. Ma do wyboru samobójstwo albo wieczne udawanie, że nic się nie

stało. Że nie trzeba było sprzedać zamku, upłynnić rodowych pamiątek, że można żyć za pożyczone. Prawdziwy bohater romantyczny w tej sytuacji najpewniej strzeliłby sobie w łeb, narzekając najpierw na fatum, Boga i niewdzięczny lud. Ale Jerzy od Norwida nie jest bohaterem romantycznym. Namówiony

przez przyjaciela, aktora legendę, Pszonk-Kina, trafia na scenę, święci triumf w roli Hamleta i zaczyna zrabiać pieniądze.

Michał Zadara przenosi tę sztukę do naszej współczesności, ale nie skreśla Norwidowi ani słowa i nic mu nie dopisuje. Publiczność usadzona na obrotówce wiruje między trzema miejscami akcji: jesteśmy w skopiowanej w skali 1:1 teatralnej warszawskiej kawiarni Antrakt, na podupadłej recepcji hoteliku w Otwocku i w opróżnionej z antyków zamkowej komnacie. Nowe realia zderzają się z archaizmem języka. Ale psychologia postaci zostaje ta sama, moralna drapieżność sytuacji – również.

To już drugi spektakl Zadary, w którym bada on równoległość miłości i ekonomii, sprawdza, w jaki sposób nasze ideały zależą od stanu domowych finansów. Jak w „Wielkim Gatsbym” tak i tu pieniądze są na ustach wszystkich, weksle i akcje nosi się zamiast bielizny. Wszystko, co spotyka bohaterów, prawdziwy motor ich istnienia zależy od stanu gospodarki światowej. Inny reżyser takiej naczelnej, radykalnej tezie podporządkowałby pewnie każdy element scenicznego świata, Zadara ukrywa ją raczej za warstwą obyczajową. Słucha bohaterów, cieszy się frazami jak badacz umarłej mowy, pozwala akto-

rom Narodowego wskreślić teatr konwersacyjny, jakiego już nigdzie nie ma. Czy to znaczy, że reżyser skończył z awangardą, zmienił się, przeszedł na pozycję akademickiej? Guzik prawda. To kwestia nowej strategii. Nazwałbym ją indoktrynacją bezinwazyjną. W poprzednim teatrze Zadary na pierwszym planie był eksperyment, koncepcja i metoda przesłania ludzi. W nowej odsłonie najpierw są ludzie i historia, jaka się przez nich opowiada. Też dociera do nas niepostrzeżenie, z opóźnieniem, kapie żrącymi świadomością kropelkami z przeróżnych teatralnych piękności. Finałowe migawki zza kulis, nowego zawodowego życia hr. Jerzego to bodaj najlepsze od strony formalnej sceny, jakie wyszły spod ręki Zadary. Nadrealny skrót innego, niełatwego życia. Teatr nas nie ocali – przestrzega reżyser – bo sztuka, tak jak życie, zależy również od ekonomii i ludzkiej małości.

ŁUKASZ DREWNIAR

\*\*\*\*\*

„Aktor” Cypriana Kamila Norwida, Teatr Narodowy w Warszawie, reżyseria: Michał Zadara, scenografia: Robert Rumas, kostiumy: Julia Kornacka, muzyka: Dominik Strycharski. Premiera: 4 lutego 2012 r.

że Przemek. Na salonach bryluje książdz Stollo, czyli Tischner, towarzyszy Garstka, czyli Kazimierz Mijał, nadal wierzy w maoistyczną wersję komunizmu.

Polska w spektaklu Głomba jest gabinetem figur woskowych pozorujących intelektualną aktywność. A może nawet ruchomym mauzoleum, zbiorową mogiłą przyspany nonszalancko stertami damskiej bielizny. Gorzko. Śmiesznie. Niesmacznie.

A co z finałem? Tym z duchem babki Pilchowej, szeptanym przez Jerzego na kobiecych kolanaach w uzyskanym wreszcie azylu miłości, finałem lirycznym, wyśnionym? Takie rzeczy marzą się wyłącznie 50-latkom, „trzydziestak” Kotyńskiego poszedł w kolejne tango, znalazł inną Polskę na innej balandzie. W przedstawieniu Głomba ostatni obraz traci nie tyle aktorskim, co koncepcyjnym fałszem, bo po prawdzie nie udał się i Pilchowi. Rozpętawszy apokaliptyczną wizję, pisarz wycofał się rakiem: na Hożą i w wiślańską przeszłość. Głomb nie miał gdzie uciec. Musiał skłamać. Książkę Pilcha wydano w 2008 r. „Marsz Polonia” był diagnozą podzielonej Polski i oszalałych Polaków sprzed Smoleńska.



Obawiam się, że dziś jest o wiele gorzej. Już mecz nie wystarczy, żeby wyrównać rachunki. Obstawiam rzeź. ŁUKASZ DREWNIAR

\*\*\*\*

„Marsz Polonia” według Jerzego Pilcha, Teatr Powszechny w Łodzi, adaptacja: Robert Urbański, reżyseria: Jacek Głomb, scenografia: Małgorzata Bulanda, muzyka: Bartek Starburzyński. Premiera: 21 stycznia 2012 r.

# Podkarpacka Rwanda

Jeśli myślicie, że Gross ujawnił już najgorszą prawdę o polskiej wsi, czeka was niemiła niespodzianka

MICHAŁ BILEWICZ

**T**a książka zaczyna się jak księga pamiątkowa odległej wsi podkarpackiej. Tadeusz Markiel przywołuje postaci słynnych mieszkańców Gniewczyny, historii zanych, patriotycznych rodzin Browińskich, Dałomisów czy Chruściełów – tych od „Montera”. Ten sposób pisania przywodzi na myśl żydowskie yizkorbuchy, pisane przez ocalałych księgi pamięci pełne nostalgicznych wspomnień o rodzinnych stronach autorów. Kolejne rozdziały wyrywają jednak czytelnika z nastroju sentymentalnego.

Już przed wojną w sielskiej atmosferze Podkarpacia polscy mieszkańcy gardzą swoimi żydowskimi sąsiadami. Niemal każde święto staje się okazją do antysemitycznych szykan. Przedwojenne prześladowania są jednak niczym w porównaniu z tym, co w Gniewczynie zdarzy się w latach okupacji. W książce „Jakie to ma znaczenie, czy zrobili to z chciwości? Zagłada domu Trynckerów” Tadeusz Markiel opowiada o zbrodniach, których był świadkiem jako kilkunastoletni chłopiec. Jest to relacja niezwykle – tak jak jej autor, pochodzący ze wsi wojskowy mechanik artylerii, a tak naprawdy wrażliwy humanista, prawdziwy erudyta głęboko osadzony w polskiej literaturze. Patrzy na świat przez pryzmat wszystkich ważnych punktów odniesienia polskiej kultury – chrześcijaństwa, tradycji romantycznej, pozytywistycznych natchnień na postęp i patriotycznych uniesień powstańczych. To właśnie z tej perspektywy emerytowany mechanik przedstawia zbrodnie w domu Trynckerów, w którym grupa uwięzionych Żydów poddawana była torturom i gwałtom przez swoich polskich sąsiadów, a na końcu wydana na śmierć.

Opowieść chrześcijańsko-patriotyczna i sentymentalno-regionalna to dwie polskie narracje ukrywające dawną przemoc. Koncentrując się na przeszłych bohaterach i uroczym ziemi ojczystej, bardzo łatwo

opowiedzieć o zbrodni dokonanej przez rodaków. W tego typu narracji sprawców zbrodni traktuje się zwykle jako przestępców margines, wioskowych chuliganów, wszelakich „ludzi luźnych” – przeciwstawiając ich „zdrowej” większości. Tadeusz Markiel pokazuje jednak, że zbrodni dokonują nie odszczepieńcy, lecz gorliwi wyznawcy hasła „Bóg – Honor – Ojczyzna”, zaangażowani patriotci i członkowie szanowanych rodzin. Nie boi się nazwać ich „mafią”, która terrorizuje własną społeczność – czasem kolaborując z okupantem, czasem wykorzystując okupantów do własnych celów. W tym sensie jego analiza bardzo bliska jest socjologicznym rozważaniom na temat przestępczości zorganizowanej (np. Diego Gambetty), które wskazują na społeczną rolę mafii i jej genezę w czasach okupacji oraz zamętu. Niemal zawsze gdy brak jest legalnych i uznanych władz, pojawiają się struktury, które reprezentują własną społeczność, żerują na niej i sieją przemoc.

Markiel opisuje napaści na niewinnych ludzi, których owa mafia (po części pokrywająca się z lokalnymi strukturami dywersji AK) posądzała o kolaborację z wrogiem. Jego opisy znajdują przecież odzwierciedlenie w wydanej niedawno przez KARTĘ relacji Stefana Dąbskiego („Egzekutor”), który również w okolicach Rzeszowa, jako nastoletni żołnierz dywersji, dokonywał mordów na Ukraińcach, PPR-owcach oraz rodzinach domniemych kolaborantów. Zbrodnie na Żydach w Gniewczynie to kolejny dowód na wyrzadzenie się w czasie okupacji instytucji cieszących się społecznym poważaniem (jak Ochotnicza Straż Pożarna czy Komenda Dywersji AK). Pewnie dlatego też działania katów spotykały się zwykle z milczącym przyzwoleniem pozostałych mieszkańców. I choć relacje nastoletniego chłopca można by pewnie łatwo



Tadeusz Markiel – zdjęcie z czasów wojny

podważyć, uzupełniająca książkę skrupulatna analiza historyczna Aliny Skibińskiej, która dotarła do chyba wszystkich istniejących źródeł, korespondencji i relacji potomków ofiar, stanowi solidne potwierdzenie faktów przytaczanych we wspomnieniach Markiela.

Dla psychologa społecznego historia zbrodni w Gniewczynie to zaprzeczenie naiwnej wiary w idylliczną integrację ludzi różnych kultur. Od lat 30. psychologowie wierzą bowiem, że częste kontakty pomiędzy sąsiadami są w stanie zapobiec uprzedzeniu i przemocy wobec obcych. Gniewczyna przed wojną była wsią zintegrowaną – żydowscy mieszkańcy niczym nie różnili się od Polaków. Ubierali się identycznie, mówili tym samym językiem, posyłali dzieci do tych samych szkół. Żydzi nie byli tu zamożniejsi od reszty ludności. Rodziny do siebie się znały, do spotkań dochodziło w zasadzie na każdym kroku. Nie zapobiegło to jednak nie-

nawości, a później przemocy. Legendy o żydowskim złocie i ukrytym bogactwie wywoływały zawiść wobec ludzi, którzy byli często znacznie biedniejsi od Polaków. To wystarczyło, by w czasie okupacji doszło do masowego wydawania Żydów Niemcom. Czemu zajęcia te miały w Gniewczynie tak brutalny przebieg? Dlaczego sąsiedzi sąsiadów nie tylko wydawali Niemcom, ale też gwałtili ich i torturowali? Tu również mogły odgrywać pewną rolę przekonania o żydowskim bogactwie. Gdy do sprawców zaczynało docierać, że bogactwo ich ofiar jest mitem, a skazani na zagładę Żydzi to w większości biedacy, pojawiał się dysonans, który mógł wywoływać nadmiarową brutalność. Przemoc pozwalała zagłuszyć pojawiające się wyrzuty sumienia, uzasadniała ludobójcze działania.

Współczesna literatura Holocaustu wiąże ludobójstwo z nowoczesnością i postępem. Idąc tropem Theodora Adorno, Hannah Arendt i Zygmunta Baumana, badacze Holocaustu uczynili Adolfa Eichmanna prototypem ludobójcy tamtej epoki, a symbolem tamtych czasów stały się obozy zagłady. Polska szkoła badań nad Holocaustem – do której należą m.in. Jan Tomasz Gross, Jan Grabowski, Barbara Engelking i Alina Skibińska – ukazuje światu zupełnie inne oblicze zagłady. Holocaust był na polskich ziemiach dokonywany nie tylko przez „zbrodniarzy z biały”. Często

miął on oblicze takie jak w Gniewczynie czy Jedwabnem, gdzie to sąsiedzi mordowali sąsiadów. Philip Gourevitch opisując ludobójstwo w Rwandzie, pisał, że w tym afrykańskim kraju „sąsiedzi rąbali sąsiadów na śmierć w ich domach, a kolędy mordowali kolegów w miejscu pracy. Księża zabijali parafian, a nauczyciele swoich uczniów”. Tadeusz Markiel i Alina Skibińska pokazują, że tej miary barbarzyństwo może się zdarzyć także w podkarpackiej wsi.



\*\*\*\*\*

Tadeusz Markiel, Alina Skibińska „Jakie to ma znaczenie, czy zrobili to z chciwości? Zagłada domu Trynckerów”, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2012, 30 zł



# Wielki sen

Być może „Final Fantasy XIII-2” rzeczywiście przyjemniej się ogląda niż rozgrywa, ale cóż z tego. To jedna z najbardziej olśniewających manifestacji kiczu w nowoczesnej sztuce audiowizualnej



**OLAF SZEWCZYK**

Gry wideo, a przynajmniej niektóre istotne nurty w tym zbiorze, coraz bardziej ciągną ku konwencji interaktywnego filmu. Od lat trwa też spór o to, czy to dobrze, czy źle. Zarzut, że nowa dziedzina rozrywki/sztuki powinna szukać własnego języka, zamiast wyrażać się cudzym, jest tyleż naiwny, co łatwy do obalenia. Gry mówią bowiem od zawsze wieloma językami, a gatunki, które pokazują wirtualny świat obiektywnie wirtualnej kamery, umiejętnie podkreślają swe odrębne tożsamości. Parafilmowe produkcje z serii „Uncharted” mocno różnią się od choćby „Heavy Rain” czy „L.A. Noire”, mimo że wszystkie te tytuły czerpią z osiągnięć kina na wiele sposobów. „Final Fantasy XIII-2” też nie uniknie oskarżeń

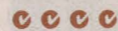
o zbyt bliski romans z filmem, ale dla wielu odbiorców wcale nie musi być to słabością tego tytułu.

Przyznaję – też do nich należę. Tak jak w przypadku „Final Fantasy XIII” (2010), którego historię dopowiada „Final Fantasy XIII-2”, niecierpliwie czekam na długie wyreżerowane sekwencje, w których nie mam żadnej kontroli nad protagonistami. Są tak efektowne, że choćby dla nich warto brnąć dalej. Nie przeszkadza mi też uproszczona rozgrywka – walki, które można wygrywać, naciskając jeden przycisk (ale też ci, którzy chcą, mogą pogrzebać głębiej i wykorzystywać całkiem złożone rozwiązania). W tej produkcji najważniejsza jest widowiskowość.

Świat gry to typowe dla serii „Final Fantasy” baśniowe uniwersum, z protagonistami wyglądającymi zazwyczaj jak nastolatki, nawet jeśli

z kontekstu wynika, że są znacznie starsi. Zwykle muszą stawiać czoło heroicznym wyzwaniom i toczyć liczne potyczki z wszechobecnym wrogiem. Nic nowego, można by rzec, przecież na tym właśnie polega konstrukcja mnóstwa gier, ale w „Final Fantasy XIII-2” owe walki mają znakomitą choreografię, przypominając nieraz jakiś nierealny wojenny balet. Już początkowy pojedynek Lightning – zaginionej (zmarłej?) filigranowej walkirii z wielkim mieczem, na której poszukiwanie wyruszy jej siostra Serah (główny motyw fabuły) – przywołuje na myśl znane z mitologii szranki bogów i herosów o nadludzkich możliwościach. W Azji, której religie uwzględniają istnienie między sferami ludzi i bogów świata asurów – półbogów zagrożonych w niekończącej się wojnie, bohaterowie gier są często wzo-

rowani właśnie na tych ostatnich. Mają w sobie jakiś boski pierwiastek, nieobecny w superbohaterach z komiksów świata Zachodu, a krajiny, które zamieszkują, to zwykle arkadzie zagrożone upadkiem – raje, których odwieczną harmonię coś właśnie zaburzyło. Największe brawa należą się artystom, którzy wymyślili i namalowali ten świat niczym z baśni lub snu. To cukierkowo cudny kicz, o – bywa – obezwładniającym uroku. Jak go opisać? Gdyby taki na przykład Jeff Koons miał więcej talentu, a mniej pretensji, być może byłby w stanie zostać stażystą w Square Enix. Być może.



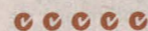
„Final Fantasy XIII-2”, Square Enix, Cenege, PS3, X360

# Superpchła powraca

No dobrze – tytułowy bohater „Rayman Origins” zasadniczo nie jest pchłą. Ale mógłby być

To pierwsza gra znana redakcji „Przekroju” z dużego ekranu, którą mogliśmy przetestować także w wersji na przenośną konsolę Sony PlayStation Vita. Byliśmy bardzo ciekawi, ile z atrakcyjności tej zabawy udało się zachować podczas trudnej operacji transplantacji na mały wyświetlacz. I okazało się, że kieszonkowy „Rayman Origins” niczym nie ustępuje pierwowzorowi.

Osobom, które nigdy nie kicały jako Rayman, wyjaśniamy, że jest on bohaterem gier platformowych, w których refleks i wyobraźnia przestrzena są wszystkim. Rayman skacze jak pchła, unika niebezpieczeństw i stara się przeżyć daną planszę tak, by zdobyć jak najwięcej punktów. Dostaje się je za przejmowanie trofeów rozmieszczonych nierzadko w trudno dostępnych miejscach.



„Rayman Origins”, Ubisoft, PlayStation Vita

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz rozwiązujące.

1	2	3	4	5	6	A	S					7
		8										
		10										
11	12	13		15	16	17						
19	20		21	22	23	24						
			25		26			27	28		29	30
31									32			
					33							
34									35			
					36							

rys. Marek Raczkowski

**POZIOMO:**

- 1. NAJŁADNIEJSZE NACZYNIĘ
- 6. SERYNY MORDERCA AMERYKANÓW
- 8. PO GRZEDZIE ZOSTAŁA NA ŁODZIE
- 9. SĘDZIA WOJEWÓDZKI
- 10. BAŁE NA DESKACH
- 11. ONI, PIERWSZA BRYGADA
- 14. PRZY NIEJ JEST CI DOBRZE
- 15. MASA CHORYCH
- 18. PÓLTUSK
- 19. W RURZE I W RÓŻACH
- 21. CHODZI NA PALUSZKACH
- 26. DLA PSA KIELBASA
- 31. SZTUKA NA RYNKU
- 32. CO WYNIOSŁEM Z PRZEDSZKOLA
- 33. PRZECIĘTNA ZNAJOMOŚĆ FIZYKI KWANTOWEJ
- 34. ZDRADZONE PRZEZ BABCIĘ
- 35. PŁACĄ MU ZA OBIJANIE
- 36. NIEZALEŻNY I SAMORZĄDNY

**PIONOWO:**

- 1. PIJE NA POKŁADZIE
- 2. ZAMACH Z UŻYCIEM RAKIETY
- 3. TĘTNI ŻYCIE
- 4. NA STOS
- 5. LEP NA KOMARY
- 6. POSŁANIE NA ZESŁANIE
- 7. PRZYRZĄD DO MIERZENIA STÓP
- 12. CZARNY U BOGATEGO
- 13. JUŻ ZAPISANY BYŁ W URZĘDZIE
- 15. OŚLEPIA KURĘ
- 16. CAŁY DZIEŃ POD MONOPOLOWYM
- 17. CO CZŁOWIEK ZŁĄCZYŁ
- 19. PŁASZCZ TRUMANA
- 20. RELACJI GNIEW – WRZESZCZ
- 22. PODRYWA PILOTA
- 23. PLATFORMA NA PO
- 24. KOLOROWY NA RAMIENIU
- 25. LENIN WIECZNIE NIEŻYWY
- 27. PIASEK I JEGO DZIEŁO
- 28. W OKIENKO CEL
- 29. ZE SZPIEGEM W ŁÓŻKU
- 30. DO ŚMIERCI W CELI



Nagrodą w tym tygodniu jest książka Dariusza Oskroba „Dosięgnąć horyzontu, czyli motocyklem przez świat”, [www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl). Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i przesyłaj do nas hasło. Wyślij sms o treści PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) pod adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 9”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 4 marca 2012. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

**LAUREACI Z NR. 6**

Tadeusz Dulowski, Trzebinia; Maria Górka, Koszalin; Tomasz Gutkowski, Warszawa; Daria Izdebska, Kraków; Andrzej Kozarzewicz, Pułtusk; Leon Małkiewicz, Kędzierzyn-Koźle; Aleksandra Pietkiewicz, Bydgoszcz; Anna Pietrzak, Warszawa; Barbara Stawiak, Szczecin; Barbara Zawadzka, Łódź

**ROZWIĄZANIE Z NR. 7**  
Krzyżówka: CISZA MORSKA

- POZIOMO:**
- 1. WIERSZOKLEPA – RECYTATOR
  - 7. ŁĄCZĄ GRUPĘ KRWIĄ – WIĘZY
  - 8. BRUKOWIEC – RYNEK
  - 9. POTWÓR Z LOCH – DZIK
  - 10. I STYKA – MALARZ
  - 12. PARA ATLETÓW – KRZEPA
  - 14. BARDZO SZTYWNE ŁĄCZE – SPAW
  - 17. PODRÓŻ ODPADA – WYWÓZ
  - 18. TRZYMA ZDJĘCIE NA BIURKU – RAMKA
  - 19. HUK ROBOTY – DETONACJA
- PIONOWO:**
- 2. RAZ NIERAZ – CIĘGI
  - 3. PRZYPUSZCZAŁBY – TRYB
  - 4. OD DESKI DO DESKI – TARTAK
  - 5. ZROBIONA MASZYŃKĄ – RANKA
  - 6. PODPOWIEDZ NA 9 – WSKAZÓWKĄ
  - 7. PRZYCHODZI, GDY NIE MA DZIECI W DOMU – WIDOKÓWKĄ
  - 11. COŚ NA RZECZY – SPRZĘT
  - 13. ROZCZAROWANIE PRACĄ – ZAWÓD
  - 15. KRZYCZĄ NA NIĄ – POMOC
  - 16. NA WESELE I POGRZEB – TREN



**Gaz łupkowy nadzieje i oczekiwania**  
 15 marca 2012, Warszawa, siedziba dziennika „Rzeczpospolita”

**Moderatorzy konferencji:**  
**Jakub Kurasz** – zastępca redaktora naczelnego dziennika „Rzeczpospolita”, redaktor naczelny Gazety Giełdy Parkiet  
**Tomasz Furman** – dziennikarz działu ekonomicznego dziennika „Rzeczpospolita” oraz Gazety Giełdy Parkiet

- Debata: Cele polityczne związane z rozwojem rynku gazu łupkowego w Polsce**
- wzrost PKB
  - modernizacja gospodarki
  - bezpieczeństwo energetyczne
  - wpływy do budżetu.
- Debata: Przyszłość wydobycia gazu łupkowego w Polsce i jego wykorzystanie. Inwestycje, podatki oraz otoczenie biznesowe**
- wielkość zasobów
  - regulacje, podatki
  - otoczenie polityczne i biznesowe
  - aspekty ekologiczne
  - czy polski system przesyłu gazu przyjmie surowiec z łupków?

Organizator:

Partnerzy Merytoryczni:

Patroni Medialni:



## HR 2012 r. TRENDRY, WYZWANIA I INNOWACJE NA RYNKU PRACY

23 marca – siedziba dziennika Rzeczpospolita

W programie konferencji m.in.:

- ➔ Aby „inaczej” znaczyło „lepiej”. Zarządzanie zmianą na przykładzie outsourcingu kadrowo – płacowego
- ➔ Cost cutting w obszarze HR jako narzędzie walki z kryzysem gospodarczym
- ➔ Jak zostać najlepszym pracodawcą? Budowanie wizerunku wewnątrz firmy na przykładzie Grupy Pracuj Solutions
- ➔ Zaangażowani kandydaci – trendy w employer branding na świecie
- ➔ Spór o „umowy śmieciowe” – gdzie leży źródło konfliktu? Praktyka i prawo

**Debata** - Nowe trendy i wyzwania w HR

**Konferencja bezpłatna dla kwalifikowanych uczestników**

Zgłoszenia i szczegóły: [www.rp.pl/konferencje](http://www.rp.pl/konferencje)  
 Kontakt: (22) 46 30 761

Organizator:

Partnerzy:

Patronat:

Patroni Medialni:

OBOWIAZUJE WYŁĄCZNIE REJSTRACJA INTERNETOWA!



- Szkolenia i konferencje marzec - marzec 2012**
- Kurs dla specjalistów ds. majątku trwałego**  
29 lutego – 3 marca 2012 r., Warszawa
  - Optymalizacja i ryzyka w obszarze VAT**  
1 marca 2012 r., Warszawa
  - Finanse dla niefinansistów**  
5 – 6 marca 2012 r., Warszawa
  - Excel Visual Basic w modelowaniu finansowym**  
- warsztaty komputerowe  
6 – 7 marca 2012 r., Warszawa
  - Ryzyko prawne w działalności instytucji finansowych**  
- praktyczne aspekty  
7 marca 2012 r., Warszawa
  - Oowiązki informacyjne – praktyczne aspekty statusu spółki publicznej (raportowanie, wezwania, squeeze out i reverse squeeze out, delisting)**  
9 marca 2012 r., Warszawa
  - Optymalizacja podatkowa przy wykorzystaniu spółki komandytowej, spółki komandytowo-akcyjnej, funduszu inwestycyjnego oraz podmiotów zagranicznych**  
20 marca 2012 r., Warszawa
  - Ocena efektywności inwestycji – warsztaty komputerowe**  
26 – 27 marca 2012 r., Warszawa
  - Rewolucja na rynku nieruchomości – obowiązki wynikające z ustawy o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego – II edycja**  
27 marca 2012 r., Warszawa
  - Kompendium praktycznej windykacji – efektywne wdrożenie procedur windykacyjnych przez wierzyciela (stan prawny na rok 2012)**  
28 – 29 marca 2012 r., Warszawa
  - MSR i MSF jako źródło wiedzy współczesnego praktyka rachunkowości – KURS 4-DNIOWY**  
29 marca – 3 kwietnia 2012 r., Warszawa
  - Kurs Analityka Giełdowego – V edycja**  
30 marca – 22 kwietnia 2012 r., Warszawa

**OFERTA SPECJALNA:**  
 Zapisując się na szkolenie oraz polecając je drugiej osobie, która również weźmie w nim udział otrzymają Państwo rabat w wysokości 100 zł\*

\*Oferta dotyczy szkoleń oraz kursów organizowanych w marcu 2012 r.  
 Zgłoszenia i szczegóły: [www.rp.pl/szkolenia](http://www.rp.pl/szkolenia) [www.rp.pl/konferencje](http://www.rp.pl/konferencje)  
 Kontakt: tel. (22) 46 30 658, 46 30 069

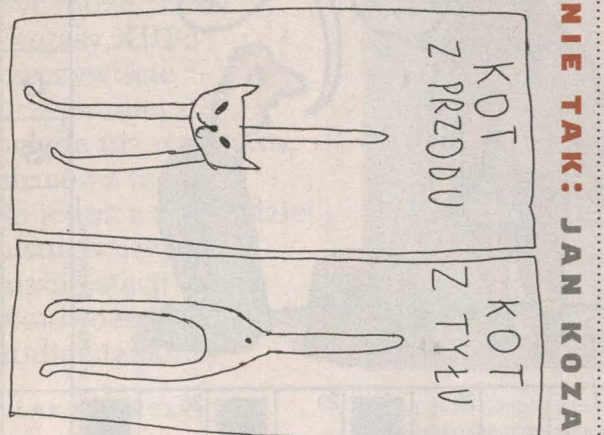


**RETROSPEKCYJA**

**0 WYACIURU**  
 „Przekrój” z 24 lutego 1952 r.

**PALOE LIZAO**  
 „Przekrój” z 28 lutego 1962 r.

Archiwalne numery „Przekroju” można (a nawet powinno) się przeczytać na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w aplikacji „Przekrój” na iPadzie dostępnej w App Store



**MYSŁNIK KRZYSZTOFA BILICY**

*Tuż nie kochamy się w kimś, tylko z kimś.*

**Sponsoring**

**KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA**

Występuje:  
**MAŻ I ŻONA** – czyli tradycyjny krajowy związek partnerski.  
*Sobota, po południu.*

**MAŻ (sapiąc ze zmęczeniem):**  
 Wyrukiem kran, odpo-wietrzyłem kaloryfery, skręciłem regał, zatań-kowałem twój samo-chód i wyczyściłem ci twarządziała z wirusów. Mogę?

**ŻONA (wrenchając Mężowi 50 zł w upokarzają-cym bilanie):**  
 Możesz.

**MAŻ (ekstazytycznie):**  
 Hurrali!

**Żona do klubu, ogląda z kolegami mecz ekstraklasy, nadziwiała i odregowuje, po powrocie do domu z pokorą inkasującą dzięki awanturę, histериę i poko-wanie walizek.**

**KURTYNNA** opada z ilości.

**ROMAN KURKIEWICZ**

## Gawrony nie pływają

Gdyby zbudowano korwetę „Gawron”, mielibyśmy pływający Stadion Narodowy. Też za bagatela 1,5 mld zł. „Gawron”, choć na wodzie, stoi nieruchomo. I tak zostanie

**B** udowa polskiej korwety „Gawron” pochłonęła już 400 mln złotych. Dokończenie i wyposażenie to wydatek rzędu miliarda wedle szacunków Ministerstwa Obrony. „Gawron” w budowie przeżył już własną stocznicę, wielu ministrów i jak stał od kilku lat w doku stocznio-wym, tak stoi. Po drodze odbyły się przetargi na system rakietowy i kolejny na same rakiety, które nie pasują do wybranego systemu rakietowego. Marzenie o byciu morską potęgą, potrzebą raczej, watażką chyba, przesłoniło wszelką racjonalność, zdrowy osąd kosztów, celowość tzw. inwestycji.

Brytyjczycy w czasie II wojny światowej wybudowali w krótkim czasie 260 korwet. Na czoł nam jedna korweta? Żeby bronić moła i plaży przywędniekiej w Juracie? A przed kim? Przed Szwedami? Może, żeby przeprowadzić świniouścian, bo jak przychodzi mroz, to prom się błęka i przybić do nabrzeża nie może, bo zalodzone.

Czy ktoś odpowiada za to pasmo zwodzonych nieszczęść? Nikt. Żaden minister. Żaden admirał czy generał. Żaden major czy sierżant. Albo cywilny doradca być może zatrudniony przez ministerstwo. Może jakiś młodek jest moziem tej największej polskiej operacji morskiej ostatniej dekady.

Przyzwyczajiliśmy się, że nie pytamy rządu o wojsko, bo wojsko cieszy się zaufaniem przeogromnym, bo jest nam niezbędne, bo musimy, bo mundury, sznurki i honory. To może najwyższy czas zacząć pytać, liczyć i rozliczać. I spywać, kiedy korweta nie płynie.

Kiedy na żądania protestujących, niedojadających, niedofinansowanych, niewywdokowanych rządzących odpowiadała mantrą „skądś trzeba wziąć, żeby dać”, to przed oczyma mam zaszygło go na wodzie, rdzawego „Gawrona”. I co gorzka – wiem, że Polska usiana jest podobnymi wróblami, sikorkami, papugami. Czas zakrakać, chociaż już nas chyba rozdziobano do szkieletu ostatniej korwety.

**LEWOMYŚLINIE**

Fot. Bogdankrezel.com



## Styl dla biznesu

T-Mobile dla firm prezentuje stylowy smartfon Prada 3.0 od LG. Po raz trzeci w wyniku współpracy LG i projektantów Prady zachwyca swoim ekskluzywnym i wysublimowanym designem oraz niezwykle smukłym kształtem (tylko 8,8 mm grubości). Model Prada 3.0 od LG posiada obudowę ozdobioną unikalnym wzorem Saffiano, oryginalny interfejs w czerni i bieli oraz niezwykle jasny wyświetlacz o wysokiej rozdzielczości. System operacyjny Android i dwurdzeniowy procesor 1 GHz pozwolą na szybkie i swobodne korzystanie z Internetu oraz Android Market. Dzięki smartfonowi Prada 3.0 od LG nadasz styl swojemu biznesowi, łącząc elegancję z funkcjonalnością.

Szczegóły na [www.t-mobile.pl/biznes](http://www.t-mobile.pl/biznes)

BIZNES

Chwile, które łączą.

